

Nr. Książki

Autor

C II62

Kraszewski J.I.

rym piecu

ata | Dat

BIBLIOTEKA I MUZEUM Z.N.P.

1514-1520 W. DIVISION STREET

WAŻNA UWAGA:

10 PROŚB KSIĄŻKI DO CZYTELNIKA

- I. Nim zaczniesz czytać — obłóż mnie w papier!
- II. Nie dotykaj mnie brudnymi rękami.
- III. Nie czytaj mnie przy jedzeniu!
- IV. Nie śliń palców przy przewracaniu kartek.
- V. Nie mnij kartek i nie zaginaj rogów.
- VI. Nie przeginaj mnie przy czytaniu.
- VII. Nie kładź mnie rozłamaną, grzbietem do góry!
- VIII. Nie umieszczaj mnie w domu na miejscu nieodpowiedniem!
- IX. Nie rób na mnie żadnych znaków i dopisków.
- X. Nie wrywaj i nie niszc obrazków i kartek.

Wymaga się od każdego wypożyczającego książki z Biblioteki Związku Nar. Pol., aby się zastosował ściśle do powyższych prośb i wogóle należy oddać książkę w takim stanie, w jakim ją wypożyczono, w przeciwnym razie osoba wypożyczająca będzie zmuszona do zapłacenia wartości książki.

DYREKCJA.

W STARYM PIECU.

C. 376.

STUDYUM PSYCHOGRAFICZNE

przez

J. I. KRASZEWSKIEGO.



WARSZAWA.

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA.

1879.



Дозволено Цензурою.

Варшава, 5 Марта 1879 года.



Tempora mutantur. Czytając stare dzieje rodzin naszych, przeglądając herbarze i spisy wysokich dygnitarzy, nieustannie się spotyka wzmianki o rodach skeligaconych z najpierwszemi domami, rozległe niegdyś posiadających majątności, o których dziś zupełnie głucho. Z tych wyżyn na których stały, pospadały one gdzieś w ciemne głębie albo całkiem znikły. Rzadko której rodzinie udało się przez kilka wieków zachować zdobytą świetność. Przypadkowa częstokroć ruina majątkowa, ciągnęła za sobą odosobnienie, zapomnienie i powolne zstępowanie po szczeblach aż tam, gdzie już nie widać.

Najmożniejsze familie XVI wieku dziś są tylko historycznie znane, choć nie wszystkie wygasły, a z tych które dziś stoją w górze, niewiele świetnością w XVI wieku pochlubić się może.

Fortuna kołem się toczy, mawiali starzy, a my w naszych studyach i opowiadaniach powtarzać często musimy, bo z faktami spotykamy się ciągle, i one się nam przypominają nieustannie.

Potomków tych rodzin zapomnianych przychodzi nam ciągle malować, zapadłych w różne warstwy społeczne. Nie można wziąć nam za złe iż się to odbija w studyach obycza-

jowych, co w życiu długiem widywało się niemal codziennie. Pamiętamy książątko które w piecu paliło u arendarza, potomka starożytnej rodziny, który nam buty czyścił za czasów akademickich (*), a prawnuki magnatów w siermięgach niejednen raz widzieliśmy z widłami chodzące około nawozu. Za to, miły Boże, ileż żywiołów nowych weszło w to społeczeństwo, które się dawnych tak nielitościwie po zbyło!

Do tych rodzin niegdy popularnych, majątnych, produjących szlachcie, należała familia Pampowskich, a miała i to szczęście, że jakiś faworyt piesek jednego z Pampowskich, swoim obyczajem, dziś już nam nieznanym, poszedł w przyszłość. Rej z Nagłowic w ucinkach swych, wspomina „pieska pana Pampowskiego.“ Znaleźć go można i w innych.

Paprocki mówi także o Pampowskich, domu wielce możnym i zasłużonym w Rzeczypospolitej (w W. Polsce). Używali oni herbu Gozdawa, nagrobek we Środzie, będąc do dziś dnia istniejący, słaui Ambrozego, wojewodę sieradzkiego.

A dziś, gdyby nie Jan Albert Gozdawa Pampowski, ostatni pono potomek rodu tego, którego zaszczycałem się przyjaźnią, nie wiem czy by kto mógł drugiego z tej krwi gdzie znaleźć.

Jan Albert, z innych wcale względów, nie jako ostatni z rodu sławnego, godzien jest pamięci; była to postać oryginalna, a łatwiej o przodków niż o wybitną indywidualność, któraby na studyum zasługiwała. Mógł nawet mój Pampowski dla innych, powierzohownie i lekko sądzących o lu-

(*) Nomina sunt odiosa — ale moglibyśmy je wypisać.

(Przyp. Autora).

dziach, wydawać się pospolitym, ja tego nie powiem o nim. Są indywidua z taką potęgą w sobie wyrażającą pewne typy, iż ohoćby prototyp nie miał wielkiego w charakterystyce człowieka znaczenia, oni je jako doskonałe egzemplarze odmian rodzaju mieć muszą. Takim był mój Jan Albert Gozdawa Pampowski.

Poznałem go już starym kawalerem, świadomym krwi dostojnej z której pochodził, chociaż w genealogii pomiędzy Ambrożym wojewodą sieradzkim, a panem komornikiem była, z powodu popalonych akt i metryk, inwazyi *hostium*, i losów jakim ulegały księgi ziemiańskie, luka dająca się wypełnić tylko wyobraźnią i hipotezami.

Jan Albert noszący tytuł komornika, jak spędził swą młodość, gdzie się dorobił majątku, który miał dowiedzieć się od niego nie było można. Mawiał tylko wzdychając, że bywał na wozie i pod wozem, że nie z jednego pieca chleb jadł i że wszystko co miał, winien był głowie i pięciu palcom swoim. Nie chlubił się tem jednak tylko przed poufałemi, a wojewodą sieradzkim lubił się pochwalić przy każdej zrzeczności.

Był zarazem, jak to mówią, i familantem i dorobkowiezem; prawdę rzekłszy ostatecznego w nim mocniej czuć było.

Gdy komornik zjawił się w Warszawie, jako dziedzic dwóch tegich wiosek w płockiem, niepodobna wieku jego było odgadnąć. Nie możnaby było powiedzieć o nim że był dobrze zakonserwowany, ale że usiłował się młodym pokazać, żwawym i do sakramentu małżeństwa wszystkie posiadającym kwalifikacye, temu nikt nie zaprzeczy. Posądzam go że miał naówczas lat pod pięćdziesiąt, chociaż się do nich nie przyznawał, bywał jednak tak roztargnionym, że się czasem wygadał z czemś co chronologii jego oficjalnej kłam zada-

wało. Grzeczność wymagała aby go na takich *lapsus linguae* nie łapać, zwłaszcza że nieboraczysko najczęściej sam się postrzegłszy, skonfundowany bywał i usiłował się rejtować.

Pomimo tej pięćdziesiątki, łysiny okrytej tupetem, który był arcydziełem fryzjerskiej sztuki, twarzy nieco pomarszczonej i czasami lekko, sztucznie bielonej i rumianej, wygolony zawsze świeżo, ubrany starannie, poruszający się żywo i na sposób młodzieńczy, oko mający wypukłe, czarne, wyraziste, usta rumiane, humor statecznie wesoły, komornik zdawał, niewchodzącym w szczegóły mógł się wydawać wcale różnym, w sile wieku mężczyzną.

Mając pewną skłonność do utycia, jeździł Pampowski co roku do Karlsbadu i regularnie tracił po kilka funtów w tłuszczu nieostrożnem nabytym jedzeniem.

Do znamion młodości w nim należał humor przedziwny, wesołość przyjemna i gotowość do udziału we wszelkich rozrywkach, których młodzież zwykła używać.

Umysłowo także, choć się w nim przebijał zakrój jakiegoś staroświeckiego, był to człowiek odwieczony; nowsze pojęcia i przekonania, choć się zdawało że się nimi czasem dławiał, połykał jakby w nich smakował.

Gdy się zapominał, co się rzadko trafiło, odczuwał się w nim człowiek przeszłości, ale kiedy się miał na baczności, rzekłbyś że świeżo wyszedł z nowej szkoły. Przez wzgląd na towarzyską potrzebę komornik nauczył się był po francuzku: prawda że wymawianie miał nie paryskie, że w stylu polonizmy srogie popełniał, ale to jego francuzczyźnie nadawało pewien akcent i oryginalność. Tak samo oswoił się był z rękawiczkami, choć zdradzał się niekiedy z tem, że ongi ich nie noszał i że widział w nich niewolę dla rąk utraconą.

Gdyśmy się lepiej, bliżej poznali, nieraz starałem się go wywieść na opowiadania o przeszłości. Nie ma człowieka któryby około pięćdziesiątki nie lubił się puszczać w wiośenne wspomnienia, Pampowski też zdawał się czasami zbierać na wyznania szersze, jak to tam z nim bywało, lecz ledwie się zawrócił w tę stronę—wnet ostygł i zbywał ogólnikiem.

— Al zachciałeś dobrodzieju, zażyło się wszystkiego, bywało siak i tak, tędy i owędy, czy to tam wszystko wygadać.

Majątek nie był spadkowy, sam wyznawał że go nabył, a co mu zostawili rodzice, gdzie i jak się wychowywał, cd czego począł, nieposób się było dowiedzieć. Żartami się latał, ściszał, całował i mówił o czem innem.

Troską, z której się przed wszystkiemi spowiadał i która go czyniła śmiesznym, była niepomierna chęć ożenienia się. Nie przyznawał się do tego iż mu szło o to, by ród starożytny nie wygasnął na nim, ale wzdychał do szczęśliwości małżeńskiej, do złotego jarzma, przez samą miłość jego. Trzeba go było posłuchać gdy marzył głośno o pożyciu z dobrą, młodą, kochaną żoną.

— Dla czegożś, kochany panie Janie, nie żenił się dawniej?—pytałem.

— Nie trafiło się, to raz, powtóre, dużoby o tem mówić, pracowało się, czasu nie mogłem tracić i zwlokło się, no, może i dobrze że się zwlokło, bo dziś inaczej człowiek widzi i czuje, a serce, dzięki Bogu nie ostygło!

Gdy o tem mówił, zwykł się był fertycznie na jednej nodze wykręcać, nuć i czasem na zwierciadło spoglądać. Minę robił figlarną.

Często przy pierwszej z kimś znajomości, komornik, gdy przyszło do poufalszej rozmowy, zagadywał go zaraz:

— A nie wiesz tam, dobrodzieju, jakiej hożej, pocziwiej dobrego rodu panienki? he?

Chociaż spóźniwszy się nieco, komornik z warunków jakich wymagał od swej przyszłej nie spuszczał 'wcale. Wymagał aby była szlacheckiego starego domu, młoda, piękna, no — i coś pod poduszkę. Rozumiało się samo z siebie iż powinna go była kochać.

Do miłości wysoką przywiązywał cenę; lecz był tego przekonania, okręcając się na pięcie i przeglądając w lustrze, że podbicie serca niewieściego nie mogło dlań być trudnem. W obejściu się z kobietami pocziwy rejent był galantem i nadskakującym wielce zabawnie.

Nigdy nie brał za złe gdy się śmiano z niego, koncepta bowiem prawil i śmiech kładł na ich rachunek.

Dla pań zamężnych, jak dla całej płci pięknej, Pampowski był z weneracją i z nadskakiwaniem, lecz nie posuwał się nigdy do żadnych dwuznacznych okazów admiracyi, szanując sakrament do którego sam wzdychał. Oburzał się nawet na tych, których zwał bałamutami, piętnując ich jako plagę społeczeństwa.

Natomiast czternastoletnie panienki, w spodeńkach chodzące jeszcze, czeił i wielbił, a nierzadko się do nich zalecał. Urok młodości tak nań działał, że nie wymagał ani nadzwyczajnych wdzięków, ani dowcipu, ani szczególnych talentów; byle panna była świeża i młoda, natychmiast gotów był się kochać i to szalennie.

Zachcianki te spotykały go co chwila, lecz równie prawie szybko jak się zapalał, tak brał na rozum, ważył, pytał i reflektował się.

Uczucie i refleksya walczyły w nim nieustannie, były godziny zwycięstwa dla jednego i dla drugiej. W zapasie zawsze miał kilka przedmiotów adoracyi; z młodzieńczą ła-

twością, z motyli^m polotem skakał od jednego do drugiego.

Nie potrzebujemy mówić iż w tym stanie ducha i serca, Pampowski żył prawie wyłącznie myśląc mówiąc, zajmując się kobietami, nikt nad niego w pewnej sferze dostępnej, nie mógł mieć dokładniejszych i bałamutniejszych razem wiadomości o wszystkich pannach na wydaniu.

Widoki jego nie sięgały nazbyt wysoko, ale też nie spadały nadto nisko. Najpiękniejsza twarzyczka nieopatrzona pewnemi kwalifikacyami, nie działała nań. Był to bowiem człowiek, mimo swojej pozornej lekkości, bardzo stateczny i obyczajów nieposzlakowanych.

Spotykając piękne twarzyczki osób, które dlań niebezpiecznemi by się stać mogły, odwracał oczy i uciekał od nich naiwnie mówiąc:

— Nie wódz nas na pokuszenie!

Nie umiem prawdziwie powiedzieć do jakiej właściwie sfery zaliczyć należało komornika; w salonie znajdował się przyzwoicie ale sztywnie, najlepiej mu było na wsi, w szlacheckim dworze. Rozpasanych zbyt towarzystw nie lubił. Bystrzejsze oko mogło w nim dostrzedz jakby dwie warstwy, jedną pierwotną, jego własną, drugą nową, napływową. Wielka powódź, poruszenie gwałtowne obnażało granity, lecz Pampowski wpędce je osłaniał.

Dla mnie głównym urokiem tego człowieka była zagadkowa jego przeszłość, którą tem pilniej starałem się odgadnąć, że ją przedemną jak przed wszystkiemi bardzo troskliwie zakrywał. Studyo^{wa}łem go jak okaz człowieka ciekawego, w interesie ludoznawstwa (jeżeli się tym neologizmem wyrazić godzi).

Często bardzo w tych towarzystwach młodzieży, wśród których go chwytałem, a które lubił nie dla nich samych,

ale ażeby w nich czuć się jeszcze młodym—rozweselono się mocno przy kieliszkach, przychodziło do wynurzeń, Pampowski też na pięcie się okręcał, śpiewał, ale się nigdy tak dalece z niczem nie wygadał. Chronologiczne baki, które strzelał, zdradzając swój wiek, zawsze się tyczyły drugich, nie jego.

Bywałem u niego czasem z rana, ale ile razy trafiło się go zastać jeszcze nieubranym, pomimo poufłych stosunków, do gabinetu w którym się młodym czynił, nie wpuszczano mnie, ani nikogo, gdy był przy wielkiem dziele. Pozostawiało tajemnicą jak się wyświeżał. Raz czy dwa wdarłem się do tego *sanctum sanctorum* wśród dnia i prawdziwie zdziwiony byłem niezmierną mnogością przyrządów toaletowych i higienicznych, jakiemi je znalazłem zastawione.

Oprócz przysłonionych w szafach kosmetyków, sama ilość szczotek, szczoteczek, piłek i różnych narzędzi na toalecie była zdumiewająca. Nie brakło też na hydropatycznych i gymnastycznych przyrządach, gdyż Jan Albert troskliwy był o swe zdrowie i, bardzo rozumnie, utrzymywał je w stanie na jego wiek zadawalniającym, nie apteką ale środkami profilaktycznemi.

Kto mu to doradził, nie wiem; że sam nie wpadł pewnie na tę myśl—zdawało się niewątpliwem. Jeździł nawet konno dla ruchu i dla szyku, chociaż Boże odpuść, jak się na koniu wydawał i co z nim robił. Domyśleć się było łatwo iż koń dla niego rzeczą był nową i w późniejszym już wieku jako atrybut szlachecki przyswojoną.

Majątny, kawaler i nieskąpy, chociaż dla siebie samego był oszczędnym i w interesach rachunkowym, Pampowski miał mnogich przyjaciół różnego rodzaju. Sam zresztą szukał ich i nadzwyczaj chciwie zawiązywał stosunki, zawsze w tej błogiej nadziei, że przez nie trafi do jakiegoś domu,

w którym znajdzie ową przeznaczoną dla siebie towarzyszkę życia, w której on i w którym ona się zakochać miała.

Mimo niezawodnie pięknych przymiotów Jana Alberta, z tego cośmy o nim powiedzieli miarkować można, że o ile on do zakochania się był pobopaym, o tyle znowu w nim kobiecie się rozmiłować nadzwyczaj było trudno.

Pewna niegrzeczna a dowcipna pani rejentowa porównywała go do czerstwej bułki odświeżonej. Młodzież otaczająca go ciągle, skłonna do żartów i wyzyskiwania słabych stron człowieka, podbijała mu bębenka.

Wmawiano w niego czasem, że ta a ta panienka słodkiemi nań rzuciła oczyma, że pewna mama radaby była wydać córkę za niego, że w jednym ze znajomych domów siedemnastoletnia dziewczica znajdowała go nader przyjemnym.

Komornik jak na wędkę, chwycił się na te słowa, natychmiast biegł praktycznie je zużytkować, a jeśli znalazł najmniejsze prawdopodobieństwo, rozpoczynał wywiady, rozmyśły i — wahania. W chwili gdy klamka zapasć mogła, ogarniała go trwoga.

Raz, gdyśmy byli wieczorem sami, a komornik ciągle prawił o różnych swych matrymonialnych widokach, stawiając *pro i contra* a dopytując o zdanie, zdało mi się rzeczą sumienia dać mu dobrą radę.

— Kochany panie Janie — rzekłem — chcesz się żenić? Słyszę o tem od lat dwóch, zwolnij nieco z warunków wymaganych, weź z dobrego gniazda niezbyt młodą a zącą panienkę, nie żądaj ani głośnego imienia, ani wielkiego posagu, ani zbytniej młodości, ani niebezpiecznego wdzięku — a ożenisz się łatwo.

Słuchając komornik, który cygaro palił (starał się nauczyć tego, bo dawniej nawykły był do fajki), wyjął je z ust jakby przestraszony.

— Ja przecie jeszcze tak zdesperowanym nie jestem— zawołał z wymówką i żalem. — Nie mogę się nazwać starym.

— Ależ i młodym nie jesteś! — rzekłem.

— Co metryka znaczy! co? metryka — odparł z zapalem — kto liczy lata? Jest rzeczą powszechnie wiadomą, że jeden się zużywa prędzej, żyje szybciej niż drugi. To nie wchodzi w rubrykę. Jestem zdrow, czuję się silnym, mam niezły majątek, dzięki Bogu poczwara mnie nie nazwie nikt (chrząknął i podrygnął), dla czegożbym miał opętać ustępstwa i zniżyć cenę własną? Dla czego?

Nie mogłem na to zrazu dać odpowiedzi, nie obrażając go, dodałem tylko:

— Kiedy ci pilno w drogę, a masz sprawuneczek w sklepie, przecież się nie targujesz?

— Zapewne że pilno mi! — rozśmiał się — ale dla tego złego towaru nie chcę wziąć! O! nie!

— Ale lata ubiegają! — dodałem.

Pogładził włosy i tupecik.

— Ja też gruszek w popiele nie zasypiam — dodał w końcu, — ale *nemo sapiens nisi patiens*, mówią, a ja powiadam, *nemo felix, nisi patiens*.

Było rzeczą niepojętą, że znając komornika z jego zapалу do kobierca, zręczna jaka kobiecina już go w swe sieci nie złapała. Winien to był może temu, iż najpiękniejsza wdowa i rozwódka nie nęciła go, obawiał się i powtarzał przysłówie z czasów jeszcze pana Paska:

— U wdowy chleb gotowy, lecz nie dla każdego zdrowy!

Przepowiadałem mu, znając jego usposobienie, że skończy na ożenieniu z piętnastoletnią, bosonogą pastuszką na wsi.

Śmiał się.

— Ale ba?! — odpowiadał — a co by było potem jakby znikł urok lat piętnastu a została — prosta baba od gęsi?

I głową potrząsał. Miał już z tych idealnych konkurrów, dość długo trwających, wyrobione doświadczeniem pewne aksjomata nie do pogardzenia.

W tych czasach, gdy jeszcze jak motyl latał od domu do domu za świeżo z pensyi wyszłemi panienkami, straciłem go z oczów. Następne przygody pana Jana Alberta Gozdawy Pampowskiego są mi już wiadome tylko przez wspólnych znajomych, którzy mi je z opowiadań jego i osób wchodzących do nich, szczegółowo później odmalowali.

Po wyjeździe moim z Warszawy, komornik ciągnął dalej niezmiennym trybem dawne swe życie. Niektóre matmy, choć nie znajdowały go nazbyt dla córek pożądanym i potrzebny, mówią że potajemnie jednak zasięgały informacji w Płockiem o stanie hipoteki. Okazało się iż wioski miały na sobie lekką pożyczkę towarzystwa kredytowego — i nic więcej. Posądzano nawet Pampowskiego o skórki baranie, gdyż kupony u niego widywano.

Z tem wszystkiem to właśnie, co w przekonaniu komornika miało go uczynić miłym i powabnym, najwięcej od niego odstręczało. Matki, osoby doświadczone, widząc na twarzy lekko i zręcznie lecz jawnie użyte bielidło i róż, tupet na głowie, domyślały się zębów mte dziedzicznych ale nabytych i daleko więcej defektów niż ich w istocie może było. Komornik latał napróżno.

W tym czasie jakoś przybyła do Warszawy, niewiadomo ukraińska czy podolanka, osoba młoda jeszcze i nadzwyczajnej piękności. Zjawiła się sama jedna, bez stosunków i w początkach była osamotniona.

Powiedzieliśmy, że odznaczała się nadzwyczajną pięk-

nością. Była ona tak uderzającą, iż gdy się pierwszy raz ukazała w teatrze, zwróciła oczy wszystkich i zrobiła co się zowie *furor*. Latano, dowiadywano się, młodzież szalała nie mogąc ani się domyśleć kto była ta nowa gwiazda wschodząca na horyzoncie syreniego grodu. (Styl dziennikarski!)

Niepodobieństwem było dowiedzieć się ani nazwiska, ani stanu, ani narodowości tej istoty, stworzonej na to, aby długo ukrywać się z sobą, nie mogła. Pierwszego wieczora zakładano się: jedni że jest panną, drudzy że mężatką, rozwódką, polką, greczynką, włoszką i t. p.

W loży ukazała się ubrana nader smakownie, ale bez narzucającej się jaskrawości i świecideł, ze starą jakąś panią, służącą widocznie za *szumera*. Słusznego wzrostu, brunetka, z czczym czarnem, ruchów nieco amazońskich i śmiałych, miała twarzyczkę małą, dziecinną, więcej wdzięczną niż istotnie piękną, ale pełną tego uroku, który porywa i oszala. Szczególniej wzrok determinowany, nieulęknioty jej czarnych oczów, przenikał do głębi. Malutka rączka, którą z loży zwiesiła, jak na okaz była cudownych kształtów.

Nieznajoma, jedni mówili panna, drudzy pani, w teatrze znajdowała się przyzwoicie, ale w najmniejszej rzeczy niez mieszana ani wejrzeniami, któremi ją prześladowano, ani nowym światem, wśród którego występowała. Było coś w jej ruchach, w charakterze całym tego zjawiska, dającego się domyślać—pół-swiata.

Teraźniejszy świat prawdziwy tak się stara do pół-swiata być podobnym, iż w determinowaniu istot do jednego lub drugiego należeć mogących, łatwo pobrać można. Mogli więc jedni utrzymywać że to była rumuńska księżna, drudzy że paryzka loreta. To pewna, że zachwyciła i zaintrygowała wszystkich.

Pampowski, który był w teatrze, chociaż osoba ta nie należała do kategorii jemu najniebezpieczniejszej, wyrostków, dzieląc zachwyt młodzieży do której pragnął się liczyć, unosił się także.

— To panie jest Venus, jak Boga mego kocham!—pocwartał za innemi, wychodząc z teatru na składkową kolacyjkę.

Do późnej nocy nie było mowy tylko o tej osobliwej piękności i jej czarnych oczach.

Drugiego dnia gdy się znowu ukazała w teatrze, wszystkie już środki zostały przedsięwzięte, aby tajemnicę bytu pięknej nieznajomej odsłonić. Poświęciło się temu dwóch czy trzech złoconych młodzieńców. Jeden miał czatować na wschodach, drugi z gotową dryndą kawalerską stać dla gonienia za powozem, inny jeszcze na wszelki wypadek dodatkową stójkę odprawiał.

Nieznajoma, śledzona pilnie, siadła do—dorożki ze swą towarzyszką i—pojechała do hotelu Europejskiego. Tu już śledztwo nie przedstawiało żadnej trudności. Zajmowała Nr 105 i zapisaną była w księdze jako pani Henryka Bromberg z Odessy.

Nie mówiło to jeszcze nic, ale dawało wskazówkę; poszukiwania nad genealogią Brombergów doprowadzały do Bydgoszczy i dawały rezultat bardzo dwuznaczny.

Dowiedziano się w hotelu iż pani ta szukała mieszkania i zdawała się mieć zamiar osiąść stale w Warszawie, że mówiła po polsku, po rosyjsku, po francuzku i po niemiecku, nie licząc innych języków jakie jeszcze później objawić się mogły. Towarzyszka jej zwała się panią Abak, co nawet narodowości jej nie dało odgadnąć.

Jednym z najmocniej zaintrygowanych panią Bromberg, był pan Józef Mahoński, trochę już blednąca gwiazda

plejady złotej młodzieży. Mahońsk', którego ojciec dorobił się pracą znacznej bardzo fortuny, po śmierci jego stał na czele pięknego zakładu, powiedzmy po prostu warsztatu, który, ponieważ zostały mu i dobra, sprzeł za raz za bezcen. Wpadł wprost pomiędzy próżniaczą młodzież, wyrzekając się swego pochodzenia uziwigo i wkuwając do — powiedziawszy od razu, trutniów. Od lat dziesięciu przegrywając w resursach i klubach, tracąc na konie i na inne kosztowne miłośnictwa, Mahoński zaczynał już czuć się żenowanym w interesach.

Mówił sobie że w ostateczności trzeba się będzie bogato ożenić. Tymczasem trybu życia nie zmieniał. Był młody, dzięki ojcu wychowany bardzo starannie, nadzwyczaj bystrego pojęcia, dowcipny, więcej może niż przystojny, bo prawie piękny mężczyzna, więc choć go już lichwiarze jedli, nie obawiał się jeszcze o przyszłość. Wszystkim swym fantazycem dogadzał, *à bouche que veux-tu?*

Jedną z najgłówniejszych fantazji, a razem najkosztowniejszych, była — żeby się nikomu nie dać zaćmić i prześcignąć w niezem. Jeżeli który z tak zwanych magnatów popęlił jaką niedorzeczność kosztowną, Mahoński nie mógł spać, dopóki na wypródkę z nim idąc, nie palnął jeszcze droższego głupstwa.

Pochodzenie swe mieszczańskie, od warsztatu, chciał koniecznie zatrzeć w ten sposób, a niemożna powiedzieć, a — żeby na nasze czasy i obyczaje zły to był wynalazek.

Mahoński ową panią ujrzawszy w teatrze miał się, jak niektórzy utrzymywali, odezwać.

— Ale słowo daję, ja ją znam!

Wyparł się potem tego, tłumacząc się że pewne podobieństwo go złudziło, ale pilno zabiegał, aby się nikomu nie dać uprzedzić w zbliżeniu do tej nowej gwiazdy. Trafy

w rozpoznawaniu co dostępnem jest, zdawał się pewnym od razu iż celu dopnie, chociaż gwiszda patrzyła z lekceważeniem i niemal pogardą obojętną z wyżyn swej łoży pierwszego piętra na ludzi; nie wyzywała ich wcale, zdawała się bardzo dumną, jednak Mahoński przenikał widać iż znajomość zrobić będzie rzeczą możliwą. Miał w tem doświadczenia wiele i oko bardzo wprawne.

Gdy inni jeszcze biegali na próżno i głowę sobie łama-
li, Mahoński w kilka dni potem wiedział, że pani Bromberg
najęła mieszkanie przy Królewskiej ulicy i chwalił się
że zrobił z nią znajomość. Jak? — z tego się nie chciał tłu-
maczyć.

Lecz zapewne dla podwyższenia w cenie swej konkiety,
mówił o pani Bromberg bardzo seryo, jako o osobie dobre-
go towarzystwa, świeżo owdowiałej, przybyłej dla interesu
familijnego i ze wszech miar poszanowania godnej. Gdy mu
się z niedowierzaniem uśmiechano w oczy, gniewał się, bił
w piersi i stawał w obronie wdowy z zapalem u niego nie wi-
dywanym.

Przyznał się że u niej bywał, lecz wprowadzić nikogo
nie myślał.

Komornik, który w wielu względach modelował się na
wzór Mahońskiego i za doskonały wzór go dla siebie uwa-
żał, był dlań z respektem wielkim.

Nie naśladował go w rozrzutności, w fantazyach, lecz
dochody jego, szyk, mowę, strój, pewne właściwości studyo-
wał i starał się przejmować o tyle o ile one włożyć się
dały.

Mahoński parę razy zaciągnął u niego pożyczkę, byli
z sobą w zażyłości wielkiej. Jedną razą, gdy innym dosyć
niegrzecznie odmawiał Mahoński zapoznavania ich z panią
Henryką, odwrócił się do komornika i rzekł:

— Co innego pana Jana, tego gdy zechcę wprowadzę, ale to człowiek stateczny i wiem że nie nadużyje.

Komplement ten nie koniecznie był w smak komornikowi, który za trochę trzpiota rad był w tem kółku uchodzić—zamilczał.

Inna jakaś gwiazda nowa, już nie drugiej ani trzeciej, ale czwartej wielkości a miłego blasku, wkrótce odwróciła uwagę od pani Bromberg.

Chociaż Mahoński zawsze stronę jej trzymał i bronił od posądzeń, szeptano iż coraz nowe i wielce urozmaicone robiła znajomości, że dom niedostępny stawał się bardzo otwartym.

Upłynęło miesięcy kilka, gdy raz pan Józef rano przyszedłszy do komornika, który mu znowu pieniędzy na zbycie się lichwiarza obiecał pożyczyć, rozczulił się niezmiernie dla niego.

— Słuchaj no, panie Janie—rzekł poufale go po pańsku klepiąc po ramieniu—cheesz, to cię do tej pięknej Brombergowej zaprowadzę i zapoznam. Słowo ci daję, przyjemna bardzo kobieta, zupełnie przyzwoita, a! surowych, surowych obyczajów, ale wesola, miła i mógłbyś tam czasem dobrze sobie przepędzić wieczorek.—He? co ci to szkodzi?

— A! zapewne, cóż mi to ma szkodzić, owszem, owszem, ale na co mi to się zdało?—rzekł komornik, naiwnie wydając się z tem, że na pamięci miał ciągle cel życia poważny i *matrimonium*.

— Powiadam ci dom bardzo miły, dobijają się żeby tam bywać—mówił Józef—ale, nie dla każdego tam drzwi otwarte.

Komornik spolitykował, nie napierał się, nie odmawiał, myślał że gdy się o to nie upomni, Mahoński mający pamięć krótką, nalegać nie będzie.

Stało się inaczej, pan Józef go pochwycił nazajutrz i niemal gwałtem z sobą poprowadził na Królewską ulicę. Pampowski nie widział potrzeby opierania się.

Apartamencik najęty przez panią Bromberg był niewielki, ale urządzony z elegancją i smakiem, które komornikowi zaimponowały. W przedpokoju stał lokaj w liberyi z akselbantami, w białych rękawiczkach.

Pani domu na pierwszy rzut oka miała zupełnie postawę, powierzchowność, sposób obejścia się bardzo wielkiej damy, nadewszystko uderzała w niej śmiałość pańska, swoboda, pewność siebie i maniere, które każdego w przędcie w jej salonie równie swobodnym czyniły jak ona była.

W teatrze zdaleka wydawała się Pampowskiemu piękną, ale w salonie była wprost zachwycającą, takiej perfekcyi, jak sam powiedział, nie oglądał w życiu.

Miłośnik i znawca wdzięków niewieścich, które zwykł był oceniać z cynizmem starego kawalera, komornik był osłupiały, piękność pani Bromberg wyższą była nad wszelką nawet starokawalerską krytykę, nie było w niej cienia ni skazy.

Obejście się pięknej pani przy wielkiej śmiałości, miało jakiś odcień znużenia i smutku. Wejrzeniem zdawała się człowieka przejmować do szpiku, patrzeć mu w duszę, odgadywać myśli tajemne. Komornik, gdy raz pierwszy spotkał je, uczuł się tak zakłopotanym, jak gdyby go kto na niece odwrócił i wszystkie łaty, cery, plamy jakie nosił we wnętrzu, oglądał.

Zląkł się.

Mahofski, którego znał komornik z kobietami do zbytku śmiałym, tu był pełen poszanowania, sztywny i wcale so-

bie nie pozwalał jak zwykle. To jeszcze bardziej zastanowiło Pampowskiego i uczyniło bojaźliwszym.

— Kiedy już on musi się mitygować—rzekł w duchu—trzeba być bardzo ostrożnym.

Gospodyni dla nowego gościa szczególniejszą okazywała uprzejmość. Gdy Małowski ziewał nad albumami fotografii wystawiających piękne widoki Krymu, pani Bromberg zajęła się głównie komornikiem.

Głos miała nie nazbyt melodyjny; było to może jedyną jej słabą stroną, trochę kataru i chrypki tego dnia czyniło go ostrym nieco i niemiłym; za to wynagradzała wejrzeniem i całym blaskiem swych wdzięków, które umiejętnie bardzo sironem i ruchami podnosiła.

Rączka dłubiąca coś na kawałku kanwy, była białości, rysunku i wypieszczenia nadzwyczajnego, komornik nazwał ją—ręką królowej, suknia dosyć obcisła wykazywała kształty zachwycające. Naostatek oczy—dobijały.

Co do wieku, Pampowski niezmiernie szczęśliwy w odgadywaniu go tam nawet, gdzie bywał jak najmądrzej kłamanym, wyznawał iż oznaczyć go z precyzją nie było podobna.

Ręczył za to że dwudziestu sześciu nie przeszła, ale gdyby kto dał dwadzieścia cztery, zakładać się nie ohoiał.

Zdaje się że uprzejmość z jaką został przyjęty, a po godzinie do pewnej poufałości zachęcony i przypuszczony, wpłynęła też silnie na wrażenie jakiego doznał. Wdowa od niechcenia powiedziała mu, że mąż jej zajmował dosyć wysokie stanowisko w administracyi nowo-rosyjskiego kraju, że zostawił jej po sobie dosyć kłopotliwe interesa, iż z powodu ich musiała na jakiś czas zamieszkać w Warszawie.

W sprzeczności z dystynkcyą pani domu była zbliżka wizpiana owa staruszka, pani Abak, która okazała się czemś pośredniem między służką a rezydentką w najordynaryjniejszym gatunku. Wyglądała na ubogą mieszczkę przebraną przyzwoicie, ale niemogącą strojem pokryć swego gburowstwa.

Mowa, ruchy, śmiech zdradzały kobietę bez żadnego wychowania, niemającą nawet instynktu przyzwoitego zastosowania się do towarzystwa w które została wciągnięta.

Za każdym jej odezwaniami się gospodyni śliczne brwi czarne marszczyła, pięknymi ramiony białemi wzruszała, a krzykliwy głos starej baby raził ją nieprzyjemnie.

Gdy komornik się już nieco obył z panią Bromberg, Mahoński, który do znajomości nie zawadzał i był na stronie, przystąpił i wmieszał się do rozmowy i wielce był użytecznym, obojgu nowo poznanym ułatwiając porozumiewanie się.

Pani Henryka w początku aż nadto poważna, aż do zbytku surowa, trochę przesadnie zimna, zaczęła się zwolna rozmrażać, uśmiechać i—przeszła nagle prawie do bujnej, niespodzianej wesołości.

Komornik był zachwycony, chociaż ten nagły przeskok od *andante* poważnego do *allegro* i *scherzo*, wydał by się komu innemu może jak wydobycie się z niewoli.

Przy herbacie podanej bardzo elegancko, panowała wesołość niezmaczona niczem, oprócz obrzydliwego prychnienia śmiechem starej Abakowej.

Wieczór tak upłynął prędko, że gdy komornik, wyjąwszy zegarek, zobaczył na nim jedenastą, sądząc iż niepowinno było jeszcze być ani dziesiątej, nastraszył się, przyłożył go do ucha.

Gdy mieli wychodzić a Mahoński kapelusza szukał, pani Bromberg żegnając komornika i podając mu rękę mięciusienną, powiedziała iż cieszy się z jego znajomości, prosi aby o niej nie zapominał a nawet może rady jego będzie potrzebowała zasięgnąć.

Za bramą Mahoński próbował wydobyć z komornika kwintesencję, wrażeń jakich doznał, lecz Pampowski był milezący, kilkoma wykrzyknikami powtarzanemi go zbywał.

Poszli potem razem na kolację jeszcze, ale nawet po kilku kieliszkach wydobyć z niego nie było można nic nad jedno:

— To kobieta, panie dobrodzieju, co się zowie kobieta!

Myliłby się, ktoby w tym frazesie widział złośliwość; komornik mówił to w prostocie ducha, bez rozmysłu, nie wiedząc co powiedzieć.

Co potem zaniósł z sobą do domu, odgadnąć było trudno.

W kilka dni spotkali się z Mahońskim na ulicy.

— Byłeś u Brombergowej?—spytał go.

— A—nie!—odparł pan Jan.

— Toż dla czego?

Komornik się zacukał.

— Bo, widzisz, jakże się znowu naprzykrzać,

— Wczoraj mnie pytała czy ci się u niej nie podobało, że nawet nie odwiedziłeś dotąd. To niegrzecznie!

Zmieszał się Pampowski i spojrzał.

Mahoński był bardzo seryo, trochę nawet jakby zniecierpliwiony.

— He?—rzekł.

— Ale, mówię ci, niegrzecznie. Byłeś u niej na herbacie, winienesz być najdalej czwartego dnia wizytę, to prawo!

Komornik był przestraszony, bo chciał za nader ścisłej obserwanoyi człowieka uchodzić.

— A no, idźże, zmiłuj się, weźmie cię za gburą.

Na to już nie było ratunku, i Pampowski natychmiast poszedł. Lokaj go zaanonsował, wprowadził do salonu, czekał minut z dziesięć, wyszła wdowa w negliżu porannym z białego kaszmiru z karmazynowemi ozdobami, skarżąc się na głowę. Była znowu inaczej piękną, ale jak! Komornik słupiał. Chciał się zaraz wynosić z powodu bólu głowy, zatrzymano go, zaczęła się rozmowa, wdowa zbliżyła się do niego, sparła na stoliczku, zamurowała mu sobą drogę do ucieczki, siadła tak, że mógł zbliżyć ją całą admirować, w wielkim blasku okna, przy którym się znajdowali. Od stóp do głów była—powtórzył komornik—perfekcyą!

Uczucie jakie biednym starym kawalerem owładło, było szczególnego rodzaju: był to czysto platoniczny zachwyt. On, co do najśliczniejszych piętnastoletnich jagódek był śmiałym i sądził się ich godnym, tu ani nawet śmiał przypuścić, aby osoba tak dystygowana mogła w nim obudzić myśl grzeszną, czy też—matrymonialną.

Patrzył na nią jak na Venus medyceuszowską, okiem artysty, choć nim nigdy nie był. Jednem słowem, z całą tą swoją perfekcyą nie pociągała go, ale mu imponowała.

Szczególne rzecz, wdowa która wyszła, jak pierwszą rzazą, poważna, prawie zasepiona, z migreną, stopniami w towarzystwie komornika ożywiła się, rozweseliła, stała żartobliwą, śmieszką, i zapomniawszy się, trzymała go zasuniętego sobą i stolikiem jak w więzieniu. Komornik kilka razy brał za kapelusz, za każdym kazała mu go położyć, czyniła wymówki że się z nią nudzi, słowem wytrzymała go półtorej godziny i dopiero wymógłszy przyrzeczenie, iż ją, biedną samotnicę, często będzie odwiedzał, puściła.

Pampowski oszołomiony, mówiąc pospolitym językiem, na wschodach o mało, postradawszy równowagę, nie upadł, tak się czuł spojonym i zmęczonym. Rozmowa pani Bromberg dowcipna, żywa, zostawiła mu po sobie wrażenie spalonego fajerwerku. Rzymskie świece i snopy gwiazd jeszcze mu latały przed oczyma.

Wychodząc na ulicę, musiał się zapiąć, bo czuł że jak mysz spotniał.

Godzina obiadu jego dawno była przeszła, powlókł się, jeszcze nie mogąc przyjść do siebie, tam gdzie jadał zwykle i zastał przy czarnej kawie Mahońskiego, który go zmierzył bystreimi oczyma.

— Cóż się ty to tak spóźnił? zapytał pan Józef.

— A bo, znowum się, oto, tego, zasiedział u tej pani, rzekł niechętnie przyznając się komornik.

— No, prawda? miła kobieta? hę? spytał Mahoński.

Komornik tylko głową pokręcił. Siadał on bez apetytu do obiadu, co mu się rzadko trafiało, bo miał, jak wszyscy zagrożeni otyłością, niepomierłą zwykle żarłoczność, szczególnie do mącznych potraw.

Po długiej pauzie zdobył się znowu, na...

— To kobieta!

— Ja jej mam, z mojego punktu widzenia jedno do zarzucenia, zaśmiał się Mahoński, dla mnie ona za surowa, za ostra. Pośmiać się, pośmiejcie, potrzpiotać gotowa, ale broń Boże choć za tę białą łapkę chcieć pochwycić, choć odrobić się wyemancypować! ho! ho! staw ci się jak osa... do oczu skaczel nie żarty!

Rozśmiał się komornik zadumany.

— Temperament ma żywy, dodał pan Józef, ale wychowana była surowo, córka obywatelska... Rodzice jej mieli

znaczące dobra na Ukrainie, jest z domu Sulimskiego, to stary ród na kresach.]

— El nigdym o nim nie słyszał! odparł komornik, który z herbarzami znał się z powodu genealogii Pampowskich.

— Jaki? Sulimscy herbu Sulima! ba! ba! ba!

Komornik nie śmiał się już sprzeczać.

— Spokrewnieni tam byli z Koniecpolskimi, dodał Małowski—*Excusez du peu!*

Pampowski jadł zupełnie nie mówiąc. Wiadomość ta wcale w innym kolorycie teraz wdowę mu stawiała. Większą jeszcze czuł dla niej wenerację. Koligać z Koniecpolskimi nie była fraszką.

Małowski posiedziawszy trochę a nie mogąc rozgadać komornika, co przypisywał żołądkowi jego, głodowi i sumienności z jaką się odżywiał, pożegnał go i poszedł.

Pampowski pociągnął po obiedzie do domu, czuł się złamanym.

Miał naówczas na myśli oóreczkę urzędnika, tylko co wyszłą z pensyi, która zdawała mu się dla niego stosowną. Ojciec przyjmował go nadzwyczaj mile, matki nie miała. Młodość świeża, jak krew z mlekiem, zastępowała wdzięk klasyczny, którego brakło. Panna miała nosek zadarty, kartofelkowaty, ale zęby jak perły, uśmiech jak jutrzienka różowy i zdrowie, bujne kształty, w jakich się komornik kochał.

Szło o to, aby ona okazała choć trochę skłonności ku Pampowskiemu. Wprawdzie wychodziła do niego wesółą, lecz czułości nie było, wejrzeniem mierzyła dziecięcym, śmiałym, zimnym, a gdy komornik coś romansowego napomknął, śmiała się aż do nieprzyzwoitości.

Raz, gdy rozmowę jakoś wprowadził na zamążpójście (a ojca wówczas nie było, tylko ciotka niema z pończochą

u drugiego okna), panna Eliza oświadczyła mu, że wcale nie miała ochoty męża szukać, bo najlepszy mąż był tyran w jej przekonaniu, a ona kochała swobodę.

Dawało to do myślenia. Komornikowi wypadało tego dnia odwiedzić pannę Elizę dla zbadania lepszego jej skłonności, miał iść, i—tak się uczuł jakoś zmęczonym, że zamiast pełnić obowiązek, na kanapie się zdrzemnął.

Gdy człowiek bywa zburzony zbyt silnem wrażeniem, sen staje się lekarstwem skutecznem, ciąg uczuć przerywając i nie dając im rosnąć dokuczliwie. Pampowski wstał też orzeźwiony nim, choć z innych higienicznych względów zakazywał sobie snów poobiednich, jako ociążających, dających usposobienie do apopleksyi i starość sprowadzających.

Głową potem miał ciężką i czegoś był z siebie nierad. To go zmusiło pójść do Lursa na bilard i orzeźwienie się towarzystwem. Lekarstwo było bardzo skuteczne; zapomniał o wdowie i napił się ponczykku, począł znów wzdychać do różowej Elizy z białemi ząbkami i dał sobie słowo być u niej nazajutrz.

Pampowski był w ogóle słownym nawet względem samego siebie. W godzinie właściwej, wyświeżony, w lakierkach, które go cisnęły tem bardziej, że olbrzymiemi nagniotkami nogi jego się odznaczały, co im nadawało formę wcale nie estetyczną, znalazł się w progu panny Elizy. Nim wszedł, zauważył że panna siedziała w oknie z młodzieńcem, pochylona ku niemu i—zdawało mu się, byłhy przysięgli, że się trzymali za ręce. Jak tylko drzwi skrzypnęły, kawaler odskoczył na środek pokoju, a panna zarumieniona patrzała najniezgrabniej za okno!!

Ukazanie się komornika było jakieś niewczesne i zaledwie ojciec panny wszedł do pokoju, najserdeczniej witając gościa, kawaler się ulotnił a panna zniknęła.

Pampowski w podobnych razach, gdyż mu się niespodzianki takie w życiu trafiały, umiał się znaleźć jak niemożna lepiej. Najprzód z zasady miłość szanował, a takiej która już dochodziła do ściskania rąk potajemnie przed ciecią, nigdyby był w świecie nie chciał stanąć na zawadzie; powtórnie nie lubił awantur i nie chciał się narażać nikomu.

Więc z ojcem rozpoczął najweselszą rozmowę i nią tak pannę, słuchającą podedrzwiami ośmielił (bo była pewną, że nie nie widział), iż zaraz do pokoju wróciła, zbywszy się zdradliwego rumieńca. Ojciec zawsze miał zwyczaj nadzwyczaj coś pilnego znajdować do załatwienia, gdy komornik przychodził, przepraszał i zostawiał ciotkę. Tym razem też zrobił podobnie. Pampowski siadł przy pannie Elizie, równie serdeczny i uprzejmy jak dawniej, rozpoczął rozmowę, napatrzył się na białe ząbki i nosek zadarty, na czerwone dużawe łapki, pożartował, zabawił się i wkrótce pożegnał. Panna po tem tylko mogła poznać iż została podpatrzoną, że Pampowski o małżeństwie, o którym zawsze coś zagajał, teraz miłował i ani mru mru.

Nie kosztowała go zbyt wiele ofiara chwilowych złudzeń, gdyż panny Elizy jeszcze nie kochał, przez ostrożność. Zabierał się dopiero począć gdy będzie pewny, że wylanie się serdeczne poprowadzi do ołtarza. Winszował sobie teraz iż był ostrożny i darmo się nie wykspensował. Panna nie była zachwycającą, lecz miała niespełna lat szesnaście, to także coś warto!

Ponieważ ostrożny Pampowski zawsze miewał na wołandzie panien kilka, bo był w wyborze trudny, a bez zapasu nadziei żyć nie mógł, kolej następowała na pannę lat dwudziestu, córkę niemajątnej ale bardzo zacnej obywatelki ziemskiej.

(Obywatele u nas dzielą się, jak wiadomo, na ziem-

skich, miejskich, a w jednej pieśni pobożnej jest przykład obywatela niebieskiego. Nie uwłaczając temu ostatniemu, ziemski obywatel jest *prima*, a miejski coś nakształt cukru, ale nierafinowanego. Rafinatem podwójnym jest, jak wiadomo, arystokracya, w której pierworodnych melassów ani śladu, ni woni, ni zapachu.)

Córka wdowy, panna Klara, dwudziestoletnia (data urodzenia przypadkiem zdobyta, nie ulegała wątpliwości), miała to nieszczęście w oczach komornika, iż się wydawała starszą niż była. Łagodna była ale smutna i przybita.

Matka skłopotana interesami także stękała, dom był w ogóle nie wesoły. Wiele jednak mówiło za nim. Pampowski nie wątpił, iż pannę wydanoby za niego, bo matka mówiła mu bez ogródki, iż gdyby się trafił człowiek stateczny, nie odmówiłaby ręki Klary, potrzebując kogoś, co by z niej zdjął brzemień interesów nad siły.

Panna Klara była grzeczna, była powolna, ale jakby zrezygnowana i bez czucia. Pampowski zaś w małżeństwie potrzebował soli, któraby mu smak nadała. Zresztą nic zarzucić nie było można pannie Klarze, której twarzyczka zadumana, chmurna, wcale była ładną.

Zmuszony do wyrzeczenia się młodszej Elizy, komornik teraz postanowił stanowczo próbować szczęścia u wdowy. Nazajutrz już był w drodze; uperfumowawszy się mocno, gdyż pewnym był że wonie wpływają, poruszając zmysły, na rozbudzenie się uczuć. Przez całą drogę zajmował go obraz panny Klary, ku któremu pragnął się natchnąć. Wyrzucał sobie, iż zbyt zajęty panną Elizą, zaniedbał był nieco wdowę i pannę Klarę, a choiał teraz wmówić w siebie, iż ta miała więcej dystynkei i charakteru w fizyognomii.

Zbliżając się ku mieszkaniu wdowy, komornik wedle zwyczaju swego dobył małe lusterko z kieszeni, poprawił

włosów, spojrział na suknie. Właśnie miał wchodzić do kamienicy, gdy go uderzyły stojące przed nią aż trzy doróżki. Na wschodach był ruch jakiś, w przedpokoju zawieszone paletoty męskie i stojące laski zwiastowały niezwykłą w tym domu frekwencję. Coby tu mogło tyle osób sprowadzić, myślał jeszcze pan Jan, gdy uśmiechająca się dziwnie służąca wpuściła go do salonu.

Tu znalazł dwóch starszych panów poważnych, z których jeden siedział na kanapie zwrócony ku gospodyni, drugi na krześle przy niej, trzeci, młodzieniec słusznego bardzo wzrostu, przechadzał się z panną Klarą po pokoju. Na stole stała butelka i kieliszki.

Na widok wchodzącego wdowa żywo się podniosła z kanapy, aby go powitać. Była zarumieniona i ożywiona mocno.

— Miło mi, że pana dobrodzieja dziś u siebie oglądam, odezwała się ceremonialnie nieco, jako przyjaciel domu podzielił z mną radość z postanowienia córki mojej, której właśnie obchodzimy zaręczyny z synem pana referendarza.

Komornik, który już niejednemu raz w życiu na podobną niespodziankę był wystawiony, nie tracił nigdy przytomności umysłu i nie dawał poznać po sobie uczucia doznanego zawodu. Z uśmiechem pełnym uprzejmego współczucia, począł wieszować wdowie, i referendarzowi, i pannie, i słusznemu jej narzeczonemu. Przyjął kieliszek wina i kawałek tortu z rąk wdowy, westchnął w duszy, lecz kontenansu nie stracił.

Gdy z godzinę się wymęczywszy graniem roli przyjaciela domu, znalazł się w ulicy i mógł swobodnie odetchnąć, na chwilę gorzko mu się zrobiło w duszy. Myślał coby to było, gdyby się był zakochał? gdyby był wszystkie swe nadzieje złożył w rękach panny Klary?

Szczęściem, nie była ona ostatnią. Komornik znajdował teraz, iż wyglądała niedość świeżo na swój wiek i mogła

się zbyt prędko zestarzeć. Przytem interesa zawikłane wdowy byłby musiał wziąć na barki, a zatem dobrze się stało, Pan Bóg go sam ochronił od biedy.

Pocieszając się jak mógł, Pampowski poszedł do resursy i siadł do wista, w czasie którego mógł myśleć, co dalej poczynać. Nie tał tego przed sobą iż czas upływał, że należało coś postanowić i śmielszy krok stawić. Czuł się młodym, lecz wiedział, że nim wiekuście być nie może.

Na rejestrze miał jeszcze panien kilka, lecz te oddalone numera stały na nim raczej *pro memoria*, niż jakby istotnie rachować mógł na nie. Z sześciu panien Miętoszewskich, dwie mu już zabrano w oczach, pozostawało cztery. Najstarsza miała lat wedle domowego rachunku osiemnaście, chociaż komornik znajdował to fikcją, bo musiała liczyć dwadzieścia, jak się wyrażał, odlewanych, imię jej było Leokadya. Miała przytem ten defekt, że grała na fortepianie z przekonaniem, iż Liszta zakasuje. W domowem zaś pożyciu zakasowywanie Liszta jest, jak wiadomo, utrapieniem wielkiem. Minąwszy rzecz samą w sobie, fortepian rzadko chodzi sam jeden, rodzą się potrzeby akompaniamentów, czterech rąk, artystów młodych, itp. Panna Leokadya więc, mimo ślicznej figury i pięknych oczu, niezbyt nęciła Pampowskiego. Wolałby był stokroć Filomę, siostrę jej młodszą, urzędownie rachowaną na lat szesnaście, wedle kontroli komornika osiemnaście.

Ta grała na fortepianie bez pretensyi, miała parę lat mniej, cichszą się wydawała i komornik znajdował ją bardzo miłą. Lecz niewzruszoną było zasadą pani domu, ościogdnej pani Miętoszewskiej z demu Berberysówniej, iż córki powinny były tak wychodzić w świat kolejną, jak na świat przychodziły. Komornik więc albo musiał brać z brzegu, albo się postarać o kawalera dla panny Leokadyi. To nie

tak było łatwem jak się zdawało, mimo że panna Liszta zakasowywała, bo miała dwadzieścia tysięcy złotych posagu tylko, i wymagania wielkie.

Pochlebiał sobie jednak Pampowski, iż gdyby seryo się oświadczył, możeby pani Miętoszewska, ze względu na ilość córek jaką miała w domu, uczyniła koncesyę.

Następujące dwie młodsze siostrzyczki, czternastoletnia Julka, której komornik dawał lat szesnaście, mimo iż chodziła w krótkiej sukience i spodełkach, i trzynastoletnia Róża, wedle poprawnej rachuby piętnastoletnia, byłyby komornikowi do smaku przypadły, lecz obawiał się ażeby zbyt się nie wyśmiewano.

Na opiece brata zostająca, bardzo piękna, panna Albina Hortyńska, chociaż mogła mieć już lat pewnych dwadzieścia sześć, podobala się komornikowi, przypadała mu z innych względów, mógł się do niej przywiązać, jak powiedział przed sobą, lecz pasyami a szalenie kochać się nie mógł.

Tymczasem *periculum in mora*, obróciło się żenić koniecznie i omyłone nadzieje czyniły go niecierpliwym. Młodzi przyjaciele, znający jego projekta, przedrzewiali Nielitościwie i prześladowali biednego komornika.

Drugiego dnia poszedł do państwa Miętoszewskich. Był to dom, którego gospodarz, jakkolwiek istniał z pewnością, nigdy się nie pokazywał i nie zdawał się mieć wpływu czynnego na losy rodziny. Nie mówiono o nim w domu nigdy, nie odwoływano się do niego. Pani Miętoszewska z domu Berherysówna, rządziła wszystkiem. Gości tu przyjmowano mnóstwo, świat artystyczny był licznie i doborowo reprezentowany; bawiono się wesoło i dosyć swobodnie. Komornik trafił właśnie na wieczorek muzykalny, grano trio Mendelssohna, młodziuchny długowłosy skrzypek stał przy pianinie, więcej patrząc w oczy panny Leokadyi, niż w nuty.

Wiolonczellę grał zatabaczony wirtuoz, ojciec rodziny, milczący i zjadający butersznity z apetytem. P. Leokadya, która znajdowała zawsze komornika zimnym i niemającym poczucia muzycznego, przyjęła go bardzo obojętnie. Po odegraniu tria panny i muzycy zaczęli chodzić i rozmawiać i Pampowski miał nieprzyjemną znowu niespodziankę, zarzawszy nieostrożnie do drugiego pokoju. Długowłosego muzyk, zdawało mu się, był pewnym tego, pocałował ukradkiem pannę Leokadyę w czoło. Komornik jak oparzony ołskoczył, udając że nie widzi, zrobiło mu się gorąco, uczuł że panna była dla niego straconą. Najprzód żadnemu w świecie związkowi serc na drodze stawać nie chciał, powtóre był pewnym, że Miętoszewska nie wyda córki za skrzypka i że miłość ta... może stan małżeński uczynić dla panny nieznośnym a dla przyszłego męża ryzykownym.

Komornik tak był poruszony i przejęty widokiem tym, iż chciał zaraz się z wieczora wynosić, ale go wstrzymała panna Filomena.

Ta tego wieczora szczególniejszą mu okazywała sympatyę, jakby siostry swej obojętność nagrodzić chciała. Siadł więc przy niej i zabawiał ją rozmową, jaką zawsze miał na pogotowiu, gdy chciał pannę wybadać, nim słodyczami karmić ją zaczął. Panna Filomena, mimo młodocianego wieku okazała się tak dobrze przygotowaną i usposobioną, iż o mało tegoż wieczora nie tknął już sprawy serca Pampowski, wstrzymało go tylko to, iż nigdy zbyt pośpiesznie kroczyć nie był zwykł, a raz przyjętego trybu nie zmieniał.

Gdy po odegraniu elegii Ernsta wyszedł Pampowski od pani Miętoszewskiej, długo chodził samotny, rozmyślając czyby mu, mimo uroku jaki zyskała w jego oczach panna Filomena, nie wypadało zupełnie domu tego z rejestru wykreślić.

Pocałunek w drugim pokoju rzucał cień na całą rodzinę Miętoszewskich. Wzdychał i litował się nad nią.

Ponieważ żadnego dnia *sine linea*, to jest bez zetknięcia się z towarzystwem płci nadobnej nie spędzał Pampowski, nazajutrz miał odwiedzić pana Hortyńskiego i jego siostrę, gdy wieczorem znalazł na stoliku bilet zapraszający na herbatę.

Jako człowiek nie lekko nieważący i ze wszystkiego lubiący ciągnąć wnioski, a mający i to za zasadę (zasad w ogóle miał dużo), iż nie ma drobnostek i wszystkie one mają znaczenie, Pampowski bilet podpisany „Henryka“ z wykreślasem nieczytelnym, poddał rozbiorowi ścisłemu. Papier z wspaniałą ogromną cyfrą niebieską, złożoną i ukoronowaną H. B., w której dwie głoski tak związane były, iż ani jednej ani drugiej dojrzeć w tej płataninie nie było podobna, był kolorowy, pachnący, extra-dystyngwowany. Koperata umyślnie dlań zrobiona, odznaczała się też samą elegancją. Pieczętka odcisnięta na laku niebieskim, przedstawiała kwiatek z pochyloną wdzięcznie główką i nieczytelnym napisem.

Wszystko to świadczyło, iż dama miała smak doskonały. Co się tyczy pisma, to zostawiało wiele do życzenia; było jakieś konwulsyjne, nieregularne, i tak kreślone, jakby autorka uniknąć chciała examinu z ortografii, gdyż drażliwsze miejsca były jakby pozamazywane lub pozalewane. Pomimo to, mówiąc o tem iż „wieczorów“ sama spędzać nie lubi, pani Henryka uniosła się i zakończyła je na „uf“. Kormornik jednak przypisał to pośpiechowi, lub wychowaniu zwykłemu u nas, które więcej dba o francuzczyznę niż o język własny.

Długo rozmyślał nad tym biletem Pampowski, wreszcie składając go do szufladki, bo chował kobiece korespon-

dencye zawsze na wypadek, gdyby jakie spóźnione uczucie drogiemi je uczynić mogło, powiedział sobie: Cóż mnie to ma obchodzić, jak ona pisze i kto jest?? Wcale to nie ta zwierzyna, na którą ja poluję.

Nie mając na myśli podobać się pięknej wdowie, gdy przyszedł wieczór, Pampowski jednak niezmiernie starannie się zajął wyekwipowaniem w tę podróż. Twarz została wytarta, upudrowana, odświeżona, perfumy dobrane z kilku najlepszych, rękawiczki białe leżały na rękach jak lakierki na nagniotkach. W wielkiem zwierciadle przejrzawszy się z pewną miną, z kapeluszem od niechcenia u boku, z nogami w pozycyi tanecznej, komornik oddał sobie sprawiedliwość, iż miał minę młodzieńca jednego z najpierwszych domów. Nie mu zarzucić nie było można. Gdyby nie dosyć nagniotkami zdefigurowane nogi i ręce grube! Na jedno z nich lakier, na drugie glansowana skórka zaradzić nie mogła.

U pani Brombergowej znalazł już Mahońskiego, równie starannie ubranego, z kapeluszem w rękę, lecz okazało się iż ten tylko tu wstąpił przeprosić, gdyż szedł z wizytą gdzieindziej.

Znowu więc Pampowski na herbatę i wieczór został sam u wdowy, bo stara jej towarzyszka nieustannie się krzątająca, wchodząca i wychodząca, liczyć się nie mogła.

Admirował kunszt, z jakim piękna pani, nieposiadająca ortografii, umiała się ubierać. Tego dnia była na pozór z niezmierną prostotą, po domowemu, przybrana w suknię czarną, ale naszywaną jakie miś sznurkami, fręzelkami, kutasikami w sposób tak cudowny, iż komornik arcydzieło to cenił na sumę, która o dostatkach pani dawała pojęcie wysokie.

Pani Henryka była dla gościa niezmiernie uprzejmą, i, choć widocznie mówić sama lubiła, bo gdy raz przyszła do

słowa, bujała jak młody koń po stepie, jednak komornika, opowiadającego jej różne historyjki, słuchała z zajęciem.

Przy herbacie proponowała pani domu trochę essencyi ponczowej. Ona sama wlewała jej sobie tylko „supson,“ bo jej to doktor radził od migreny, Pampowskiemu zaś własnymi rączkami raz i drugi tak sownie jej dodała do herbaty, iż go w wyśmienity humor złoty wprawiła.

Nie wygadywał się Pampowski nigdy, nawet po essencyi ponczowej z przeszłością swą, ale po niej, jak przy żywszem świetle obraz, dobitniej występował jego charakter.

Wdowa badała go:

— Ma pan rodzinę?

— Niestety pani dobrodziejko—mówił komornik—rodziców straciłem w młodych latach, rodzeństwa nie mam, krewnych też żadnych.

— I nie smutno tak panu jednemu, samemu na świecie!

Pampowski się uśmiechnął.

— Nie myślę też tak pozostać—rzekł tajemniczo.

— Pan bo się powinieneś ożenić, z pana będzie mąż dobry?—mówiła wdowa.

— Pochlebiam sobie — odezwał się komornik—z pewnością najczulszym małżonkiem będę.

— No—i bardzo zazdrosnym?—figlarnie badała pani Bromberg.

— A! co się tyczy tego punktu—rzekł Pampowski popijając herbatę, do której nieznacznie jeszcze mu essencyi przyczyniono—co się tyczy tego punktu, nie mogę za siebie ręczyć. Cała nadzieja w tem, że zawierając związek wiekuiści, uczynię wybór osoby, która mi nie da powodów do żelozji.

— Ale przyznaj się pan, masz do niej skłonność?

— Pani dobrodziejko—zawołał ożywiony mocno komornik—pochlebiam sobie że serce mam czułe, nie szafowałem niem, zatem przywiążę się z całą siłą uczuć młodzieńczych, mogę powiedzieć, a kto kocha, ten nie może nie być zazdrosnym!

— Ale, pfe!—przerwała śmiejąc się pani Henryka—zazdrość zatruwa życie! Przyszła pańska małżonka będzie nieszcześliwą!

Po dosyć długim ustępie i rozprawach o zazdrości, gospodyni poczęła dopytywać, czy lubił komornik brunetki czy blondynki, żywe czy powolne? i t. p.

Nieopatrzny Pampowski naplótł jej różnych niedoręczności, z których śmiać się musiała, śmiała do rozpuku, a koniec końców dowiedziała się, iż gusta miał eklektyczne, że wyżej cenił charakter, serce, niż wdzięki, i że szukał nade wszystko osoby, któraby przywiązać się doń mogła.

Rozmowie i badaniom nie było końca, bo i Pampowski znajdował się ośmielonym, dziwnie swobodnym i do otwartości skłonnym, i wdowa nadzwyczaj chętnie go słuchała.

Nader zręcznie umiała z niego dobyć wyznanie iż miał dwie piękne wioski i kapitałiki, co dodane do pierwszego wyznania że familii mu brakło, czyniło Pampowskiego interesującym.

Mówił i o tem że długów nie robi, że lubi porządek, że odwykł od wioski i mieszkałby w mieście, nawet gdyby zmienił stan swój kawalerski, i połączył się węzłami wiekuistymi i t. p.

Ohociaż w ogóle rozmowa szła łatwo, płynęła jakoś, choć znajdował sympatyczne ucho w gospodyni, Pampowski się nią zmordował.

Pod koniec jej, gdy już miał odchodzić, pani Bromberg jakby przeczuwając to, dodała:

— Mój panie komorniku, proszę cię, widzisz jaka ja tu jestem samotna, bez znajomości. Nudzę się, nikogo prawie nie widuję, odwiedzaj że mnie częściej, proszę, i bez ceremonij. Chciałam się pana radzić w interesie a nie śmiem, widząc że takie robisz ceremonie. Sam powiadasz że famii nie masz, przyjmij mnie za siostrę. Bądźmy z sobą jak rodzeństwo!

Ostatnie te słowa dziwne na Pampowskim zrobiły wrażenie, odpowiedział na nie rzucając się do całowania rącek, które mu dano chętnie, a wyszedłszy uczuł się oblany jakimś uczuciem błogiem, jakiego nie doznał w życiu.

Mieć prawa i przywileje brata u osoby tak dziwnie pięknej, tak zachwycającej, mogło być co nad to pożątniejszego?

Nie przypuszczał komornik aby z tych praw mógł przejść do innych, ale tych mu starczyło.

— Boska kobieta!—zawołał idąc na wieczerzę, której po ponczu czuł potrzebę.

W restauracyi zastał dobrych swych znajomych, złotych i pozłacanych, witających go okrzykami. Pomiędzy nimi był i Mahoński.

— Komornik! — poczęli wołać—w białych rakawiczkach! z kądze Budrys powraca i co kryje pod burką!

— Pampowski—dodał drugi—wszystkich nas w kącie zapędzają, panny za nim szaleją, wdowy i mężatki bałamuci.

— Bardzo przepraszam—przerwał Pampowski—bałamucenie pozostawiam wam, ja co robię to seryo, a do mężatek nie mam najmniejszej pretensyi.

— Więc do wdów?

— I to nie—odparł komornik.

— Ba! ba! a ta oudowna Brombergowa, od której nie wychodzisz, świadkiem Mahoński!

Komornik zarumienił się.

— Dajcież mi pokój!

— Co się tyczy Brombergowej—odezwał się Mahoński, nie wypieraj się i nie kłam, bywasz u niej i zasiadujesz się pod północ. Nie masz potrzeby tej pasyjki się wstydzić, bo kobiecina śliczna; co dziwniejsza, że ona ma do wacpana słabość!

Pampowski się oburzył.

— Co znowu! co znowu!—począł żywo.—Zkąd data? Jak to można lekkomyślnie tak wyrażać się o osobie.

— Przepraszam, nie lekkomyślnie — przerwał Mahoński,— to co mówię jest oparte na pewnej podstawie. Ja się znam na tem, kobiecina zajęła się nim formalnie, mogłem to poznać ze sposobu mówienia o nim.

Śmieli się inni, otaczając komornika, który prawie był gniewny.

— Proszę cię, Mahoński, proszę cię, czy się godzi takie żarty stroić ze mnie, kompromitując, słowo daję, osobę—osobę...

Mahoński zdawał się mieć w tem cel jakiś, bo bardzo uparcie i seryo stał przy swoim.

Młodsze zaczęła winszować komornikowi i przepowiadać, że tym razem gotów skończyć na kobiercu.

— Ty wiesz, Olesiu—odezwał się Pampowski, do mówiącego— że w moich zasadach jest: nie żenić się chyba z panną.

— Miłość, mospanie, tej sztuki dowodzi, że się dla niej zasad wyrzeka!

Wieczorek w restauracyi poczęty tą sprzeczką, stał się później bardzo wesołym. Mahoński kazał podać szampana, postawił go parę butelek komornik, mówiono o pannach zamaż wychodzących i kwalifikujących się do stanu małżeńskiego.

Rozwinał całą swą erudycję w tym przedmiocie komornik.... Gawędka, żarty, sprzeczki przeciągnęły się do północy.

Gdy Pampowski powrócił do mieszkania i rozpoczął wieczorne rozbieranie równie pracowite jak ubieranie ranne, składanie tupetu na przygotowanej drewnianej podstawie, mycie wyjętych na noc zębów i t. p. ogarnął go niepokój jakiś. Poczował się do jakiegoś grzechu. Wszedł więc w ciemne komórki swego sumienia.

Okazało się iż wdowa, piękna wdowa, pragnąca mu być siostrą, zaczynała go więcej zajmować niż pryncypia jego dozwalały. Lękał się aby, jak się wyrażał gdy sam rozmawiał z sobą, nie zasłapał.

Czarne oczy patrzyły nań ze wszystkich kątów, znajdował ją młodszą niż była—a to już samo złym było znakiem.

— Komorniku, kochanie, strzeż się! pilnuj się.

Stara to sztuka, którą już Shekespeare znał, iż gdy się chce dwie osoby zbliżyć, wmawia się w nie iż mają już skłonność ku sobie.

— Panna się w tobie kocha!—mówią kawalerowi.

— Chłopiec tobą zajęty—szepczą pannie.

Przy pierwszym zbliżeniu się wywiera to skutek, i często co było kłamstwem, prawdą się staje.

Kładnąc się spać Pampowski rozmyślał nad tem iż Mahoński we wdowie widział słabość ku niemu. On tego na wiatr nie plótł—mówił poprawiając szlafmycę na łysej głowie, zazdrość przez niego gadała, a że istotnie wdowa ma do mnie jakąś inklinację, to pewna. Brat i siostra!

Śmiał się potem, sam przed sobą tłumacząc apostazyę przeciw zasadom, wmówił w siebie iż mogła nie mieć nawet lat dwudziestu dwóch, sama mu wyznała że ją za męża wyda-

no nadzwyczaj młodą, że z mężem żyła krótko. Skończył na tem, że chociaż wdowa była, ale miała panieńską twarzyczkę i coś dziewiczego w sobie.

W marzeniach usnął Pampowski, a być może iż esencya ponczowa i szampan uczyniły go do zbytnich koncesyi skłonny, bo nazajutrz wstawiając zęby i kładąc tupet, a z mając wychodzić na miasto, postanowił heroicznie pojsć do panny Hortyńskiej, której nie widział dawno.

Była panna Hortyńska na liście jego, choć z zapisanemi na niej 26 latami, więc może nawet starsza od wdowy, równie jak ona piękna, co do familii i posagu nic nie zostawiająca do życzenia—lecz z tą szło trudno, osoba była charakteru energicznego, poważna i ani chciała mówić o żadnem kochaniu.

Pampowski ją posądzał, że między rokiem osiemnastym a dwudziestym szóstym, w porze złudzeń i sentymentów, musiała doświadczyć miłości i zawieść się na niej, dla tego teraz na zimne dmuchała.

Przeszłość ta, której zresztą domyślał się tylko a nie był pewnym, nie zrażała go, mówił—ona do mnie nie należy. Hortyńskiego samego, który był w przyjaźni z komornikiem, rzadko w domu zastać było można, chyba wieczorem. Znalazł i teraz pannę samą z wychowanicą garbatą. Przywitała go jak zwykle, zimno.

— Dawnośmy pana nie widzieli, brat mój już się stęsknił.

— Nie śmiałem się naprzykrzać—rzekł komornik.

— Pan zawsze jesteś dla nas gościem pożądanym. Brat wieczorem lubi wista.

Gdzieś pan bywał?—dodała, mierzając go oczyma ciekawemi.

— Al miałem zajęcia!—odparł komornik.

— Pan Mahoński opowiadał tu mojemu bratu—odezwała się z uśmieszkiem, że podobno jakaś bardzo piękna wdówka mocno pana zajmuje! Zaprosisz pan nas na wesele?

Komornik aż się rzucił.

— Słowo honoru daję pani—zawołał—ten Mahoński jest niegodziwym potwarcią! Nie zaprzeczam temu iż myślę o ożenieniu, że kawalerskiemu życiu koniec położyć pragnę, ale aspiruję do...

Zadławił się Pampowski i nie mógł dokończyć, panna Hortyńska śmiała się tak jakoś wesoło, naiwnie, iż mu zabrakło odwagi na wyznanie.

— A zatem co do pięknej wdowy?—spytała panna.

— Plotka, pani dobrodziejko.

— O panu bo mnóstwo takich chodziło i chodzi—mówiła otwarcie piękna gospodyni—przypisują mu starania się o mnóstwo panien na wydaniu!

Pampowski gotów się był pogniewać.

— Niewczesne żarty—odparł starając się ostygnąć.—Każdemu z tych co się żenić mogą i każdej pannie na wydaniu, zwykli plotkarze dawać panny i kawalerów.

Panna Hortyńska się zarumieniła.

— Jakto? bez wyjątku?—rzekła—a więc i mnie zapewne.

— O pani nie słyszałem—odpowiedział komornik złośliwie—może dla tego iż pan z równą obojętnością odpychasz wszystkich.

— Ja? odpycham?—zaśmiała się Hortyńska—ale kogożem odepchnęła?

Pampowski nie mógł odpowiedzieć, a panna dorzuciła.

— Mogłabym być trudną w wyborze, wiele wymagającą, ale nie kapryśną.

Dało to do myślenia.

— Wymagającą?—podchwycił z połączoną ciekawością komornik — a czy wolno zapytać, jakie są wymagania pani?

— Cóż to pana obchodzić może? — odezwała się panna.

Pampowski obawiał się złapać, trwoga go już brała.

— Wszak ci godziwa ciekawość?—dodał.

— Jeżeli pan istotnie ciekawy, powiem mu, że wymagałabym naprzód serca i przywiązania, a potem, potem warunków takich, aby życie bardzo ciężkiem do dźwigania nie było.

— Tak! tak! serce i przywiązanie, to najpierwszy warunek—wykrzyknął komornik w uniesieniu — ale przywiązanie musi być wzajemne.

Śmiała się piękna panna.

— To się rozumie! — dodała.

— Do tego trzeba już szczęścia — rzekł komornik wzdychając. Spojrzał w oczy swej interlokutorki, patrzyła jasno, wesoło, otwarcie tak jakoś, jakby się nie obawiała wygadać, bo nie miały z czem. Na tę rozmowę nadszedł brat, pan Hipolit Hortyński, ów miłośnik wieczornego wista, pocziwy wesoły próżniak, który rzadko w domu siadywał, bo jak raz wyszedł, zapominał się, zagadywał i choć mu zawsze było pilno, nigdy nic w porze nie zrobił.

Począł komornika ścisnąć.

— Coż ty mi tu siostrę bałamucisz — zawołał. — Aha! złapałem! Jegomość wybiera chwile gdy mnie nie ma w domu i cholewki smali.

Panna się śmiała serdecznie.

— Ze mną to nie ujdzie na sucho — żartobliwie udając gniew, ciągnął dalej pan Hipolit — albo się żen lub rozprawimy się.

— Zlituj się — przerwała siostra — komornik zakochany ale nie we mnie! daruj mu życie! Mahoński powiada...

— Ale Mahoński kłamie! — zawołał Pampowski — gdybym się miał zakochać, rychlej przecie w pani...

— Widzisz, sam się przyznaje! — widzisz? — kończył Horthyński.

Pampowskiemu biło serce, panna zarumieniała się.

— Zatem mam państwa pobłogosławić? — spytał brat.

— Możesz poczekać jeszcze — przerwała siostra — komornik niezdecydowany...

— A ty? — odezwał się Hipolit.

— Ja także potrzebuję czasu do namysłu — znowu ze śmiechem mówiła panna — komornik słynie jako bałamut.

Pogroziła mu nieco, a wtem garbata wychowanica. odwołała ją do drugiego pokoju i tak się ten żart skończył.

W żarcie każdym połowa prawdy, mówi przysłowie; gdy komornik później wyszedł od Horthyńskich na obiad, przez drogę rozbierając co się mówiło z panną, jak się ona względem niego znajdowała, przekonał się iż „możeby nie była od tego.“

Stałał tedy, jak mu się zdawało, na ten raz bliżej upragnionego celu niż był kiedykolwiek. Panna dojrzała ale bardzo ładna, dosyć posażna, dobrej famili, okazywała mu że „nie była od tego.“

Szło o to aby z przyjacielem Horthyńskim rozmówić się otwarcie, prosić go o pośrednictwo i dobijać targu.

Tyle lat gonił tą mrzonkę komornik, a teraz gdy miał ją osiągnąć, serce mu biło nie pragnieniem ale niezmiernym strachem.

Był to moment krytyczny. Zapragnął koniecznie rady zasięgnąć, zorientować się, wysledzić, dojść wszystkich okoliczności, antecedencyj.

Do kogo się tu udać?

Znał tylko jedną starą panią radczynię Wielomińską, która mogła mu być radą i pomocą. W domu jej nie bywał często komornik, bo gospodyni miała lat siedemdziesiąt, a jej przyjaciółka sędzina Przepiórska, z którą razem mieszkały, sześćdziesiąt i pięć. Osób młodszych mało się tam spotykało. Wieczorami schodzili się tu emeryci, inwalidy, znajomi starzy na gawędkę, herbatę i zimną przekąskę. Komornik uważał się za zbyt młodego aby w tem towarzystwie, przeszłością głównie zajętem, smakować, radczyni go jednak bardzo lubiła, zapraszała i zwała:

— To pocziwe komorniczysko!—ale miała tę wadę iż w jego młodzieńczość nie wierzyła i śmiała się z pretensyi do niej.

Staruszka była wesółą, prawdomówną, złotego serca, lubiącą ludzi, przebaczącą wiele, a że znała cały Boży świat, można było do niej iść po radę i spuścić się na sumienność.

Zburczała śmiejąc się, ale ulitowała, pocieszyła i w ostatku pomogła serdecznie. Stosunki miała rozległe, i choć w kątku siedziała, mogła uczynić wiele.

Niedługo czekając Pampowski wczesnym wieczorem stawił się u p. Wielomińskiej, chcąc ją zastać samą; później schodziło się do niej towarzystwo, a nie było dnia żeby kilkanaście osób się nie przesunęło.

Radczyni z siatką siedziała już u stolika, słuchając

Przepiórskiej swej, czytającej Kuryera. Gdy Pampowski wszedł, od światła się ręką zasłonił.

— Komornik! — zawołała — a to gość! Myślałam żeś chery, czy wyjechał, a tu mi mówią że zdrów i trzpioczesz się jak młodzik... dla tego do mnie starej nawet zajrzeć nie masz czasu.

— Pani dobrodziejko!

— Już mi się nie tłumacz, winieneś, — mówiła radczyni — siadajże i powiedz co nowego? Przecie wiesz iż mi tu każdy plotkę jako daninę przynosi.

— Plotki nie przyniosłem — odezwał się Pampowski, ale z wielce poufną prośbą przychodzi!

Radczyni się przysunęła do niego.

— No — gadaj no! a prędko, bo gdy nadejdzie więcej osób...

— Pani się nie będzie śmiać ze mnie?

— Tego ci nie obiecuję, ale cóż ci to ma szkodzić? Mów, choćby się stara pośmiała, korona z głowy nie spadnie.

Komornik aż się pochylił do ucha staruszce.

— Pani łaskawa — rzekł — jestem w trakoie, to jest jeszcze nie, ale w projekcie, w myśli, starania się o pannę Horyńską. Przyszedłem prosić o radę...

— Mój komorniku, chyba o burę — przerwała staruszka — zawsze sobie wybierasz panny młode.

— Przecież ta, proszę pani, ma pewnie 26 lat...

— A, choćby? dla ciebie to za mało, słowo ci daję, za lat dziesięć ona będzie w sile wieku, a ty...

Pampowski zaczął się aż krztusić.

— Ja — proszę pani — ja!

— Daj już pokój z metryką — dołożyła staruszka. Za-tem cóż? myślisz że za ciebie pójdzie?

— Zdaje mi się, z bratem jestem w przyjaźni.

— Przeciwno pannie nie powiedzieć nie można, oicho zaczęła szeptać radczyni,—to jej najmniejszej ujmę nie czyni że hrabia Włodzimierz, który się w niej szalenie kochał i miał żenić, z powodu oporu rodziny, porzucić ją musiał.

— Dawno to temu?—spytał komornik.

— Lat sześć—dodała namyślając się p. Wielomińska.—Miała czas sobie wyperswadować i zapomnieć o nim. Zresztą, mój komorniku, partya bardzo dla ciebie dobra, tylko, tylko..

Popatrzała nań.

— Będzie cię ona kochała?

Milczał Pampowski.

— Pani mi mojej szczerości nie weźmie za złe—rzekł cicho—ja jeszcze nie zrobiłem żadnego kroku, myślę, wazę, bo gdy krok postawię, będzie stanowczym.

Chciałbym się bardzo ożenić, a gdy zbliżam się do celu, egarnia mnie trwoga.

Radczyni rękę mu położyła na ramieniu.

— Gdybyś mnie o radę pytał—rzekła—powiedziała-bym ci, nie szukaj młodej, weź jaką wdowę stateczną, w wieku do twojego stosowniejszym; panienska zechce się bawić, ruszać, ty zapragniesz spokoju, jesteś człowiek dobry, łagodny, zamęczą cię biedaku.

— Pani sądzi że panna Hortyńska?—wtrącił Pampowski.

— Mówię w ogóle—ciągnęła dalej radczyni—ta czy inna, co świata mało widziała i korzystała z niego, zechce go skosztować, a tybyś już po nim pragnął spocząć.

— Co się tyczy tego—przerwał wesoło komornik, zacierając ostrożnie tupet, ja się nie czuję wcale zmęczonym!

Rozśmiała się staruszka.

— Hortyński dobry człek—poczęła szeptać—ale z jego majątkiem i posagiem siostry będzie rozmaicie; więc na grosze nie bardzo rachuj.

— O to mniejsza!—rzekł komornik—idzie mi o serce i afekt!

Radozyni poklepała go znowu po rękę.

— Proszę cię! nie możesz wymagać aby się w tobie kochała, będzie cię szanować, przywiąże się, ale miłości! mój komorniku! co ci bo w głowie?

Staruszka śmiała się mówiąc dziwnie jakoś, a Pampowskiemu zrobiło się przykro, boleśnie, jakgdyby kto ostatni mu skarb wydzierał.

Wyrzec się tej nadziei aby go ktoś kiedy mógł kochać, było dlań zabójczem. Zamilkł biedak, zapatrzwszy się w kapelusz.

Radczyni uczuła że mu zadała oios okrutny i stał się jej zrobiło człowieka, dodała więc łagodniej:

— Mój komorniku, te gorące miłości, my to znamy, przechodzą one bardzo prędko, a po nich zostają gorzkie żale, bezpieczniej rachować na uczciwe przywiązanie, wierz mi.

Tak mówił rozsądek, a w Pampowskim niedogorzałe namiętności domagały się od życia, aby ich dług spłaciło. Nie przedkładał też rozmowy i nie chcąc okazać że przyszedł tylko dla zasiągnięcia języka, został na wieczór cały, choć inni goście schodzić się zaczęli a rozmowa ogólna mniej go już zajmowała. Skorzystał z niej jednak, bo znajomi staruszki znosili jej wszystkie brukowe wiadomości z miasta i w wielu rzeczach można się było poinformować o ludziach i stosunkach. Zwykle z plotek wiązała się rozmowa ożywiona, poddawano je rozbiorowi i krytyce, i jeśli z nich nie wy-

szła czysta prawda, przynajmniej zbyt przesadzone baśnie zbijano.

Tego wieczora obfitość była najrozmaitszych historyjek, a niektóre z nich żywe obudziły dyskusye. Profesor emeryt Zabanowicz między innemi doniósł, że w ulicy spotkał dawnego swojego ucznia, któremu świeżo zmarł ojciec, hrabiego Włodzimierza. Ten to był sam o którym komornikowi wspominała, radczyni, że się kochał i starał o pannę Hortyńską.

Wiadomość ta nie uszła baczного ucha Pampowskiego, który w podejrzliwości swej ten z niej wniosek wyciągnął, iż zapewne hrabia uwiadomiony iż panna miała w komorniku konkurenta, stawiał się zawczasu aby być przyjacielem domu!

Zrobiło mu się gorąco na samą myśl przewrotności ludzkiej, którą sam sobie wymyślił. O późnej godzinie wymknął się z tego wieczoru zgryziony, skłopotany, niemal zrozpaczony.

W takich razach jedyną pociechą było dlań towarzystwo młode w którym odżywał; poszedł na zwykłą wieczerzę w nadziei że zapomni o swej biedzie. Mahońskiego tu nie zastał. Młodzież, gdy o nim była mowa, coś szeptała uśmiechając się pocichu, czego i dosłyszeć nie mógł i dopytywać nie śmiał. Z komornika jak zwykle żartowano sobie, dokuczając mu pannami i dowiadując się, kiedy na wesele zaprosi.

Już miał wychodzić niebardzo pocieszony, gdy nareszcie i Mahoński nadszedł w bardzo wesołym humorze, poświsztując. Zatrzymał we drzwiach Pampowskiego i gwałtem go nazad wciągnął. Szczególny teraz jakiś afekt okazywał dla niego i opiekę nad nim rozciągnął, co zważywszy renome jakiej używał w świecie eleganckim, nie mogło ko-

mornikowi być obojętnem. Prezentował go hrabiom i koryfeuszom sportu, zapoznawał z wielkimi panami, z którymi był na stopie poufałej. Pochlebiało to pocziwemu Pampowskiemu, który po staropolsku wierzył w stosunki i rachował na nie.

Młodzież w krótkce się w różne strony porozchodziła, zostali sami z panem Józefem.

Po kilku kieliszkach komornik, który z sobą przyniósł już tu usposobienie melancholiczne, począł się nad swój obyczaj wywnętrzać przed przyjacielem. Ten go strofował za zasepienie.

— Co pan chcesz, panie Józefie—odezwał się wzdychając Pampowski. — Nie jestem stary, to prawda, ale jednak starszy znacznie od was, a dotąd mogę powiedzieć żem życia nie kosztował. Dorabiałem się za młodu w pocie czoła środków, aby później usłać sobie gniazdko i pocziwie, spokojnie dożyć końca... a tu, lata bieżą, znaleźć sobie nie mogę ani serca do serca, ani towarzyski... nie mam szczęścia! nie mam szczęścia.

Rozśmiał się Mahoński.

— Bo ty to bierzesz jakoś sielankowo, romansowo i niewiedzieć czego ci się zachciewa, gdy myślisz życia użyć w małżeństwie... Co u licha, a toć właśnie gdy się życia użyje i nadużyje, w małżeństwie szuka się spoczynku i kary za grzechy! Co ci przeszkadza używać życia mając pieniądze? Towarzyszek do zabawy znajdziesz zawsze dosyć...

— Otóż widzisz—odparł seryo Pampowski—w tem się nasze pojęcia i zasady różnią zupełnie. Ja płochości żadnej nie popełnię, życie u mnie seryo! seryo! miłość u mnie tylko w małżeństwie.

Mahoński śmiał się, komornik zmilczał ohwilę.

— Ja tam tych waszych rozrywek nie rozumiem— dodał—nie potrafiłbym, gdybym chciał, zająć się płochą kobietą. Budzi to we mnie wstręt! a gdybym, uchowaj Boże, przywiązał się do takiej, no, tobym się starał ją podźwignąć, nawrócić—i... u mnie wszystko seryo!

Mówiąc to Pampowski powagą swą stawał się śmieszny, swą sumiennością karykaturalny.

— Bardzo mi cię żal—rzekł Mahoński—lecz nie ma na to rady, potrzeba się ożenić, a ty znowu pono jesteś w warunkach trudny.

— A! jakże nie mam być!—odparł żywo komornik—związać się stulą na całe życie, trzeba wiedzieć z kim. Jestem uczciwym ozłowiekiem, nie starym, mam majątek, poczwarny nie jestem, mogę pretendować panny młodej, przystojnej i dobrego domu.

— Koniecznie ci potrzeba panny? he?—zawołał Mahoński—panny są wymagające, szukaj wdów...

Nie odpowiedział na to Pampowski, zapił winem, tupet poprawił, westchnął. Mahoński patrzył nań jak w tęczę i zdawał się badać tylko, czy pora się wygadać z tem co miał na sercu.

— Młoda, piękna wdówka—dodał po chwili, czy może być co ponętniejszego? Z panną każdą, póki się ona do życia i jego wymagań nastroi, biedy dużo, musisz się zajmować jej wychowaniem... Wdówka, co już i przeboleła trochę i doświadczyła, lepiej ozłowieka ceni... Hm?

— Nie mam nic przeciw wdowom—przebąknął Pampowski—ale widzisz jam kawaler, mnie się po sprawiedliwości należy panna!

Mahoński się aż za boki trzymał.

— Wiesz że ja cię kocham!—począł—ale między nami mówiąc, a tupet? a metryka? a zęby? Nie pretenduj wiele...

Komornik zerwał się po drugi raz śmiertelnie tknięty dnia tego, zżymnął się aż:

— Mój panie Józefie—odparł z urazą widoczną—gdyby przyszło moją niby to starość z twoją mierzyć młodością—e! e! nie wiem coby rachunek okazał i co lepsze!

— Jasiu! kochanie, nie gniewaj się!—odparł Mahoński—ja wiem że ty pocziwie żyjąc młodszy jesteś wrażeniami i sercem niż ja com szalał bezmiernie, a tymczasem ja wydaję się młodo, a ty poddeptany. Ciebie praca zużyła, mnie fortuna i płochość. Na to rady nie ma. Życzę ci dobrze i dla tego, gdy tak do szczęścia małżeńskiego wzdychasz, daję ci radę, żeń się rychło, nie wybieraj, ot—przychodzi mi na myśl... Brombergowa ma do ciebie słabość, na twojem miejscu, przysiadłbym się i—dobł z nią targu, a toć specyał nie kobieta.

Komornik jakby go piorun raził, stanął wryty. Miał on, jak wiemy, pretensye wielkie, wymagania przesadzone, ale żenić się z Wenerą medeoenszowską, owdowiałą po nieznanym Wulkanie i może nieznanym jakim synach Marsa... z taką gwiazdą piękności—ani mu na myśl nie przyszło.

— Fiul! fiul!—odparł rękę podnosząc do góry—aniby ona chciała za mnie, anibym ja miał odwagę.

Ale—nie! Lubię piękne osoby, jednak tak pięknej to bym się obawiał! Ona może łatwiutemko zrobić partyę świetną.

Daj pokój! nie tartuj!

Mahoński zbliżył się żwawo i pochwycił go pod rękę.

— Otóż ja ci powiadam—zawołał stanowczo—że ona by poszła za ciebie—na to ci słowo daję.

Pampowski milczał nie śmiejąc otworzyć ust, a p. Józef powtórzył.

— Namysł się, ja swątem, i biorę całą sprawę na siebie.

Powiedzawszy te słowa, jakby chciał by one utkwily w ofierze, włożył kapelusz i wyszedł pośpiesznie, zostawiając komornikowi wieczrę do zapłacenia, kieliszek do wypicia i rzucony wyraz do rozważenia.

W istocie było myśleć nad czem. Wróciwszy do domu bohater nasz z godzinę chodził po saloniku, nie mogąc przyjść do tego spokoju nerwów i ducha, którego wymagał sen. Brombergowa była cudownie piękną—ale. Wielkie ale, mogło się za nią ukrywać, choć była z domu Sulimska i choć Mahoński za nią gardłował. Tajemnicza pomroka okrywała jej przeszłość, piękność nadzwyczajna mogła być groźną przyszłości. Z drugiej strony panna Horyńska... także już mu się wydawała niebezpieczną... Hrabia Włodzimierz kochał się w niej, człowiek dystyngowany, wspomnienia tej miłości numeru pierwszego mogły zaćmić afekt drugi z porządku.

— Ten hrabia może z nią grał komedję—mówił w duchu—ale komedya była grana *arte*, a ja prostaczek, gdy się w niej rozkocham szczerze, będę dla niej po nim śmieszny.

W życiu jeszcze poczciwy Pampowski nie doświadczył takiego niepokoju i ucisku na duszy jak teraz. Był tak biedny, że w sekrecie zrana poszedł wywzdychać się do kościoła i niemożna zaręczyć żeby mu się tam łza nie zakręciła w oku. Z młodzieżą grał rolę trzpiota, ale naprawdę wcale nim nie był.

Cały dzień spędził na rozrywaniu się higienicznem, siadł na konia, zrobił długi spacer, poszedł na teatr i z niego miał do domu powrócić, chcąc być sam z sobą aby się dobrze rozmyśleć gdy po teatrze wychodząc, spotkał wdowę,

która go nie prosiła ale mu kazała być u siebie na herbacie, zaraz... Siadł więc do dorożki i myśląc o przeznaczeniu (śmierć i żona przeznaczona), pojechał posłuszny.

Tylko co weszli do pokoju i wdowa zaczęła mu robić wymówki, gdy w antykamerze hałas się zrobił, i z wielkiem podziwieniem komornika wtargnął widocznie dobrze rozweselony Mahoński z dwoma przyjaciółmi, hrabią Lucysiem i baronem Mahlhaben. Pierwszy z nich, ledwie dwudziestoletni młokos, znany był z tego, że w ślady ojca wstępował, puściwszy się na żywot do zbytku wesoły a pusty; drugi, jak mundur świadczył, należący do stanu wojskowego, także słynął z tego że się przed żadnem szaleństwem nie cofał.

Zobaczywszy tę trójkę we drzwiach pani Brombergowa zmarszczyła piękne brwi i z zaciśniętymi ustami, wyprostowana, prawie zagniewana zabierała się przyjmować tych gości. Komornik naturalnie zepchnięty z pierwszego planu, ustąpił w kąt, a przybyli z osobliwą jakąś swobodą i hałaśliwością zaprezentowani gospodyni rozsiedli się na krzesłach.

Wdowa była w humorze okropnym, mileżąca, nagniewana, co ani Mahońskiego, ani wesołego Lucysia, ani barona nie zdawało się bardzo frasować.

— Pani Henryka mi daruje—odezwał się Mahoński, że ja w jej dobroć ufając, ośmieliłem się o tej godzinie wprowadzić tu moich dobrych przyjaciół, ale sama pani temu winna. Byłaś pani tak zachwycająco piękna w teatrze, iż panowie ci poszaleli i Lucyś szczególnie chciał kupować rewolwer i w łeb sobie palić jeśli go zaraz nie zaprezentuje.

— Parrrole d'honneur!—potwierdził obłąk chęć pokreścić was, którego mu jeszcze natura nie dała.

— Baron Mahlhaben groził mi pojedynkiem—mówił

śmiejąc się Mahoński—dwa życia były zagrożone, zatem wolałem popełnić zuchwalstwo, niż być przyczyną dwu kryminalów!

Nierozbrojona tem tłumaczeniem wdowa zagryzła usta i oczy jej ciskały pioruny.

— Mam na moje uniewinnienie—dodał Mahoński—że pani sama zaprosiła komornika, zatem godzinę uważała za niezbyt opóźnioną.

— Tak, na wizytę znajomego—odparła głosem ostrym wdowa, ale nie na prezentowanie się w domu... Nie dokończyła...

Mahoński okazywał taką pewność siebie, tak był przekonany, iż mu wybaczyć musi gospodyni, że mimo jej gniewu, uśmiechał się.

W czasie tego intermezzo hrabia Lucyś i baron topili oczy ciekawe w pięknej Brombergowej, śledząc każdy jej ruch, i że byli już po szampanie, okazując naiwnie admiracyę swą dla niej.

— Słowo onohu!—odezwał się Lucyś—pani jesteś tak oślepiająco piękną, że wszystkie szaleństwa jakie jej piękność obudza, musisz umieć przebaczać, bo nasze jest pewnie ani pierwszym ani ostatniem.

Wdowa spojrzała nań pogardliwie jak na studenta.

Baron Mahlhagen, którego język chodził mniej swobodnie, zakręcił wąsa i pofrancuzku potwierdził.

— Po tysiąc razy ma słuszność!

Brombergowa przelotnie spojrzała nań, i jakby wzrok jej zrozumiał, baron ruszył się z krzesła.

— Kiedyśmy się zaprezentowali — rzekł odgadując myśl gospodyni, której się tem chciał przypodobać—ukłoniemy się i, po wojskowemu marsz nazad.

— Ale nie! — przerwał zuchwały Lucyś—ja chcę mieć to szczęście upoić się..

— Zdaje mi się—odezwała się szydersko wdowa—że to już jest dokonane.

— Al! tak! trochę szampanem!—rozśmiał się niczem niedający zmięszać chłopak—trzeba żeby wzrok pani dokonał reszty.

Chciał się przysunąć z krzesłem, gdy Brombergowa gwałtownie zerwała się z kanapy jakby odchodzić miała. Mahoński odoignął go.

— Lucyś, siedźcie przyzwóicie i spokojnie.

— Bo pójdiesz za drzwi!—dodał baron Mablhagen, biorąc stronę gospodyni.

Chłopak przechylił się na krześle i śmiać zaczął, nagle porwał się i spytał.

— Pani pozwala zapalić cygaretkę?

— Nie—nie! niecierpliwie i gniewnie zawołała gospodyni i pełen wyrzutów wzrok zwróciła na Mahońskiego.

Pan Józef szeptał coś na ucho hrabiemu Lucysiovi, który po młodzieńczemu, im go bardziej starano się powstrzymać od wybryków, tem większą do nich czuł ochotę.

— Mahoński nam zaręczał że pani sama pali cygarety, dla czegoż ta niełaska na nas?—wołał Lucyś.—Przyszliśmy nie w porę, to prawda, i trochę weseli, ale ja panią jutro za to przeproszę i śliczny bukiet przyniosę.

Ze wzdargą odwróciła się od niego Brombergowa. Baron widocznie z nieprzyzwoitego zachowania się kolegi korzystał i łapał wejrzenia pani Henryki, która na niego spoglądała bez gniewu.

W czasie tej sceny komornik w kącie z kapeluszem siedząc, zgorszony, oburzony, nie wiedział czy wyjść aby sceny nie być świadkiem, czy wystąpić w obronę gospodyni.

Hrabia Lucyś, któremu przed dwoma tygodniami Pampowski był prezentowany, rzucając oczyma po pokoju, mimo mrocznego kąta dostrzegł w nim siedzącego komornika.

— A! słowo daję!—zawołał—ten nieoszacowany.. jakże Pempczyński czy Pępowski?

Na skaleczenie to pogardliwe swego starożytnego imienia, komornik niezmiernie zawsze czuły, rzucił się jak oparzony.

Baron Mahlhagen zaczął mu się przypatrywać. Pomiędzy całego poszanowania dla dostojnej rodziny hrabiowskiej, której był Lucyś potomkiem, Pampowski nie mógł przepuścić bezkarnie żartów z rodowej swej spuścizny.

— Pampowski!—zawołał głośno i gniewnie—przepraszam pana hrabiego, ale na pomniku w Srodzie w W. Polsce, z początku XVI. w. można się mojego nazwiska nauczyć, aby go nie przekreślać.

— A! dziś nawet ten doskonały komornik gniewa się na mnie i łaje!—zawołał Lucyś... Słowo onohu! Panu do twarzy oburzenie!

Komornik siadł wydymając usta. Lucyś chcąc może odwrócić uwagę od siebie, począł się czepiać do niego.

— Czy pan z nami przyszedł, bo, słowo onohu, nie pamiętam, czy sam?—zapytał.—Że pan wszędzie ładne to-twarzyczki odkrywa i goni. Pan, słyszę, ma tę specyalność! Motyl! a! przedziwnie!

Komornikowi krew kipiała, rwał tupet, zapominając że mógł go z miejsca ruszyć, wdowa wzrokiem łagodnym usiłowała to wzburzenie uśmierzyć.

Niewiadomo jakby się ta scena była skończyła, gdyby nareszcie Mahoński nie począł nalegać na Lucysia, i spojrzawszy znacząco na barona nie wyprowadził ich obu.

W przedpokoju słychać było żywą sprzeczkę między nimi, podniesiony głos Mahońskiego, potem Lucysia i—nareszcie wrzawę na schodach, która wytoczywszy się w ulicę, oddaliła się i—w dali gdzieś zamilkła.

Brombergowa długo siedziała niema, na łokciu oparta, zamyślona, zdawało się że łzy miała w oczach, lecz płakała chyba z gniewu, bo piękna jej twarzyczka wyrażała jeszcze oburzenie straszne.

Komornik zdala, zbliżać się nie śmiejąc, z politowaniem na nią spoglądał. Naostatek i ona zwróciła ku niemu wejście.

— Nigdy tego panu Józefowi nie przebaczę! — zawołała...

— Bo to też jest... na to nie ma wyrazu! — odparł Pampowski — o tej godzinie dwóch takich ichmościów! Nie! to w istocie przechodzi miarę — mówił oburzony — ja jestem człowiek spokojny i nie zwykłem się mieszać w sprawy takie, ale miałem wielką ochotę wyrzucić precz tego studenta, widząc jaką to pani uczyniło przykreść.

Brombergowa wstała z kanapy.

— Nie lękaj się pan — rzekła — ja się obronię sama, a Mahoński będzie się miał odemnie zpyszna... Dam mu naukę.

— Jest to mój przyjaciel — dodał komornik — ale na ten raz bronić go nie będę.

W charakterze pani Henryki widać było i porywczosć wielką i wrażliwość łatwo przemijającą; goście nieproszeni zaledwie byli w ulicy, gdy zaczęła ostygnać, obojętnieć, i gdy stara jejmość dała znać że herbata przeciagnięta stygnie, po dała rękę Pampowskiemu...

Niezmiernie grzeczny i delikatny stary kawaler, czując że teraz zbytecznym być może świadkiem wzruszenia, chciał się oddalić, ale go nie puszczono.

— Siadaj pan i pijmy herbatę, ja tam sobie z tego nie robię—odezwała się wdowa—ale Mahońskiemu uszów natrę!

Z najzimniejszą krwią potem poczęła pytać Pampowskiego o familię, stosunki, majątek hrabiego Lucysia. Imię familii mówiło samo wiele, lecz że do niej niezmierna ilość członków rozrodzonych należała, w rozmaitych po świecie rozrzuconych kategoriach, pytanie bez celu nie było.

Komornik objaśnił jak umiał, iż hrabiątko mogło być milionowem, ale ojciec i ono samo tak bezwzględnie darów fortuny używało, iż równie możliwem było pozłacane ubóstwo, daleko trudniejsze do znoszenia niż zwyczajne i proste.

O baronie Mahihagenie, którego też wdowa była ciekawą, nie powiedzieć nie umiał.

— Jeśli mogę służyć radą—dodał pełen sympatyi komornik—radziłbym abyś pani obu tym panom drzwi zamknęła. Sama ich bytność już kompromituje... a każdy z przyjaciół i sług jej radoy oszczędzić nawet... pozoru...

Mówił to z takim przejęciem głębokiem, szczerością jakąś i naiwnością, że wdowa, która poczęła go słuchać ze smutnym uśmieszkiem, wśród uśmiechu spoważniała zdumiona, zmieszana się i jakby zwyciężona tą uciążliwą dla siebie sympatią, jakby zasromana, w milczeniu rękę mu podała.

Komornik porwał ją i pełen poszanowania wycisnął na niej pocałunek. Chwyciła go za serce, miał litość dla bezbronnej wdowy, wystawionej na takie zuchwałe napaści, a że od litości do czulszego sentymentu bardzo blisko, kto wie czy Pampowski tego wieczora nie został przebity strzałą Amora, jak się czasem wyrażał.

Zachwycającą wydała mu się wdowa nawet w Junońskim swym gniewie, jedna rzecz go tylko dziwiła, że tak pię

kna pani miała głos tak ostry i dziwnie przykry. W istocie, przy całym swym wdzięku Brombergowa rażąco czasem niemiły miała dźwięk głosu, który od jej postawy, elegancyi tak odbijał, jakby nie ona, ale kto inny mówił za nią.

Za to oczy! miłośnierny Boże! wołał Pampowski, oneby umarłego z grobu wskrzesiły!!

Rozmarzony ostatecznie, rozczulony, obdarzony uściśkiem ręki komornik, wyszedł późno, powtarzając: kobieta boska!!

Parę dni upłynęło bez żadnej ważniejszej zmiany, bez psychicznej rewolucyi w panu komorniku.

O pannie Hortyńskiej myślał, lecz zarazem wspomnienie hrabiego Włodzimierza łączyło się z nią i — budziło obawę.

Na ulicy spotkali się z jej bratem.

— Cóż ty na wista do mnie nie przychodzisz? zapytał. Siostra moja i ja codzień cię wspominamy. Niewdzięczny jesteś. Co się z tobą dzieje? Ludzie mówią, że się żenis czy co?

— Gdzież znowu? co? z kim?

— Któż cię wie? Żenisz się ciągle, bo wiedzą, że się chcesz ożenić. No—otwarcie, jakże tam sprawy serdeczne? pytał wesoło Hortyński.

— Nie mam żadnych, odpowiedział komornik. Nie przeczę, że radbym, że chciałbym—a no —nie szczęści mi się. Zaczął się śmiać przyjaciel.

— Jak wszyscy starzy kawalerowie, gdy klamka ma zapaść, rzekł—porywa cię *trema*. O! ty! ty!

— Nie liczę się do starych, odparł komornik.

— Mów komu chcesz! masz pięćdziesiąt.

— Słowo daję czterdzieści! czterdzieści—począł Pampowski, ale przyjaciel śmiechem go zagłuszył.

Zaczęli mówić o czem innem. Hortyński parę razy jeszcze w rozmowie siostrę wspomniał, a to było dostatecznem do obudzenia podejrzenia w komorniku. Pożegnał prędko przyjaciela.

— Chce mi siostrę swatać, ciągnie mnie do siebie, rzecz ukartowana—odezwał się odchodząc—należy być ostrożnym!!

Ożenić się było jedynem pragnieniem poczciwego Pampowskiego, lecz ożenionym zostać!! tego sobie nie życzył.

Właśnie w czasie, gdy tak los go na różne wystawiał próby, komornik doznał wzruszenia nadzwyczajnego z powodu wypadku, do którego najmniej był przygotowanym.

Mówiliśmy, jak całkowicie starał się pozrywać wszelkie nici wiążące go z przeszłością. Nigdy o niej mowy nie było, żaden ślad nie został z tych lat tajemniczych dorobku, które dały komornikowi majątek i pewne znaczenie.

Sam pan Jan uspokojony wierzył w to, iż nie mu nie grozi z tej strony odsłonięciem już w mrokach utopionych lat pracy i biedy. Miał się jednak przekonać, że na zerwanie z tem co było, nigdy z pewnością rachować nie można.

Jednego dnia, gdy był przy zwierciadle, starając się twarz doprowadzić do pożądanego kolorytu, wszedł posługujący mu chłopak, niosąc w ręku karteczkę na sinawym papierze napisaną, tak niepozorną, tak nieforemną, że komornik przypuścić nie mógł, aby dla niego była przeznaczoną.

— A to, proszę pana, odezwał się chłopak, z hotelu jakiś kelner czy co przyniósł i powiada, że to do pana.

Pampowski pogniwał się aż.

— Gdzie? co? kwitek jakiś? świstek? od kogo?

Porwał z rąk służącego, ale z początku nie mógł zrozumieć, co by to być miało. Na adresie stało:

„Wielmożny Papofsky do rąk własnych.“

Zdawało mu się że to musiała być żebranina, a nie lubił, gdy przez listy się udawano do niego. Dawał chętnie tylko w oczy mogąc zająrzeć nędzy lub niedostatkowi.

Niecierpliwie miał papier, lecz w miarę jak przez ortografię fantastyczną dochodził do treści rzeczy, ręce mu drżeć zaczęły, ostygł i stanął zdrętwiały. List, pomijając pisownię, mniej więcej zawierał te słowa:

— „Jeżeli sobie pan Pampowski jeszcze przypomina Maniusię, to proszę przyjść do mnie do hotelu Krakowskiego, bo jestem tu i bardzo nieszczęśliwa.“

Chłopiec czekał na odpowiedź, a komornik stał i pamięcią sięgnąwszy w przeszłość, może dla odszukania tej Maniusi, z oczyma wlepionemi w okno, zapomniał się — a z tego snu nie obudził się aż stukum jakimś zwrócony do rzeczywistości.

— Czego stoisz? odezwał się zmienionym głosem do chłopca, powiedz że przyjdę sam. Nie ma odpowiedzi.

Zmiana w twarzy, postanowienie Pampowskiego uderzyły nawet sługę. Dokończył co prędzej ubrania i niespokojny wyszedł z domu. W ulicy najprzód zaczął iść bardzo szybko, potem kroku zwolnił, namyślał się jakby miał zamiar zawrócić, i znowu szedł prędzej, zawahał się w bramie hotelu, naostatek wpadł jakby z desperacją.

Owa Manusia zajmowała numer na drugim piętrze.

Ciężko wzdychając komornik schody przewędrował, i do numeru zapukał.

Otworzyły się drzwi; stała w nich w podróżnem, czystem ale ubogiem ubraniu kobieta, wyglądająca jeszcze młodo, ale mogąca mieć lat około czterdziestu, dosyć otyła, z twarzyczką, która niegdyś bardzo wdzięczną być mogła, a teraz jeszcze przyjemną była. Wyraz jej dobroduszny, łagodny, ujmował na pierwszy rzut oka.

Komornik patrzył jak przestraszony na nią, widać w nim było wzruszenie, kobieta powitała go lekkim wykrzykiem, z radością.

— Pan Jan, słowo daję! ażeby się też odrobinę odmienił!! a ja?

Załamala ręce.

— Wieleż to lat! dodała śmiejąc się, wiele lat jakieśmy się widzieli, piętnaście! słowo daję, piętnaście!

Na świadectwo lat, z drugiego pokoju wychyliła się bojaźliwie ale ciekawie, jakby druga Manusia, podobniuteńka do niej, ale niemająca więcej nad lat piętnaście, na której widok Pampowski krzyknął z podziwienia.

— To moja jedynaczka, Karolka! rozśmiała się kobieta, gdy już dziewczeczka się cofnęła. Prawda, kubek w kubek do mnie podobna.

Mówiąc to, trzymała za rękę komornika i z rozrzedzeniem ciągnęła dalej:

— Mój Boże! piętnaście lat! ani widu ani słychu! Za mąż mnie nieboszczyk ojciec wydał zaraz.

— Szesnaście lat! poprawił nieśmiało komornik.

— Prawda! szesnaście.

To mówiąc i nie puszczając go, posadziła przy sobie na kanapie. — Wiesz za kogo? za Pędrakowskiego! Musiałam iść, choć go nie kochałam. Świeć panie nad jego duszą, nie był zły człowiek, dobry nawet... pocziwy. Otóż drugi rok jakem go straciła. Febra, febra, mówią nie, a jak dostał tej febry, co mu chiny nadawali, i ja tam nie wiem czego, bo podobno i truciza jakichś, a nie wykurowali. Umarł w sam dzień św. Marcina, zostawił mnie z tem dzieckiem, mogę powiedzieć na lodzie. Tysiąca złotych na rok nie mam. Co robić! W miasteczku to się przeżyje, a no dalej, a oto Karolka dorasta... żeby choć edukację jej dać. A! Bo-

że miłosierny, płacząc tak i myśląc, w końcu powiedziała sobie (tu głos zniżyła): takiż to pan Jan cię jeszcze kochał, a on tam słysząc opływa... czemu nie pojechać, nie poradzić się takiego człowieka.

Mówiła zadyszana, pośpiesznie, nie dając komornikowi słowa wtrącić, ten też tak był wzruszony, przejęty, pomieszany, iż mu to na dobre wyszło. Gdy skończyła, zebrał się na odpowiedź.

— Bardzoś asindzka zrobiła dobrze.

— Patrzajcież! ten mnie już tytułuje asińdzką, z uśmiechem przerwała Maniusia, dałbyś bo pokój.

Zwróciła się ku drzwiom.

— Karolka! słyszysz! a chodźże tu! pokaż się. Nie masz się co wstydić, to nasz stary przyjaciel, poczciwy człowiek. Chodź.

Wyszła po chwilce Karolka zarumieniona, niezgrabna, ale jak jabłuszko różowa, świeża i śliczna. Trochę osowiałemi niebieskimi oczkami spojrzała na komornika, uśmiechnęła się, dygnęła i nazad do drugiego pokoju.

— Bo to jeszcze kosa! odezwała się matka. W wielkiem mieście to nigdy nie bywało, zdetonowana, a tylkoby siedziała w oknie i gapiała się.

Na Pampowskim znać było i radość jakąś i niezmierne zakłopotanie, walezył z sobą. Pani Maniusia patrzyła mu w oczy uśmiechając się pocziwie, z jakąś resztką dawnych wspomnień czy afektu.

— No, nie gniewasz się panie Janie, że ja tak prosto z mostu tu na głowę mu spadłam, rzekła. Bóg widzi, że gdybym sama była, już ci bym się nie odważyła tak przypominać, bo co tam—dawno pogrzebione rzeczy—ale mnie idzie o los Karolki, a to dziecko, prawdziwie mówię, że gdyby cokolwiek edukacyi, to ja nie wiem, onaby na guvernan-

tkę mogła wyjść. Bo to zdatna i sprytna, jak ogień, a do książek to się rwie, a główka że się ludzie dziwią, z kąd się to u niej bierze.

Ot tak, spojrzeć na nią, niby trusia, dziecko, a kiedy się ośmieli, rozgada...

Matka rzuciła ręką, komornik słuchał ale roztargniony. Dano uszom jego chwilę odpoczynku.

— Słowo daję, przerwała milczenie Maniusia, ciągle się wpatrując w komornika, że pan Jan tak wyglądasz... a jaki elegant.

Tu zatrzymała się trochę mówiąca i nieśmiało wtrąciła:

— Jużci się pan nie ożenił?

— Nie, odparł Pampowski rumieniać się.

Pędrakowska zarumieniła się także. Ze strony komornika rozmowa szła bardzo tępo, zadumany siedział i widocznie przybity, aż w końcu Maniusia, jakby przeczuwając coś—dodała.

— My tu też panu Janowi znowu na głowie siedzieć, uchowaj Boże, nie będziemy. Poradzisz nam co, dobrze, nie, no to oóż robić. Ja takem się obrachowała z temi trzystu złotemi, które miałam ze sprzedaży różnych ruchomości, że mi na powrót starczą. Tylko mi o tę Karolkę chodzi, bo szkoda dziecka, a znowu, broń Boże, ja oczy zamknę, a mnie często coś w piersiach dusi, kto się nią zaopiekuje. Pędrakowskiego nieboszczyka siostra, ordynaryjna baba i złośnica, a ta nas ani znać ani widzieć nie chce, bo z mojej familii to tam ani dostąpić do nich. I choć to nosa drze, ale goł!

— Bądź kochana pani o Karolkę spokojną, odezwał się w końcu komornik. Coś musimy poradzić aby... aby jej dobrze było (innego wyrażenia nie znalazł naprędce). Prawda, że mając lat piętnaście...

— Dopiero za sześć tygodni skończy, przerwała Manusia.

— Trochę późno ją na pensję oddawać, dołożył komornik.

Manusia też głową pokręciła.

— A i to prawda, że jak się to mnie bez niej zostać! odezwała się. Od małości ja jej na dzień jeden nigdy nie odpuszczałam od siebie. Ona bezemnie, ja bez niej, to choć umierać!

I z drugiego pokoju zadźwięczał głosik dosyć przyjemny.

— Ja od mamusi za nic w świecie.

— Nad tem wszystkiem, rzekł komornik powoli, trzeba się rozmyślać, pokombinować, omówić. Coś się zrobi. Niechno pani sobie spocznie, wieczorem mogą dać bilet do teatru, a jutro, pojutrze.

— No, jutro, jak sobie chce, przerwała Manusia, a pojutrze ja już będę musiała jechać. My tu wczoraj przyjechałyśmy, ja zaraz dziś zobaczyłam rachunek, to w tym hotelisku, choć mi powiedzieli że tani, gdzieś co! jaki on tani, że skóry dra! za najmniejszą rzecz. Świece! materace! słowo daję.

Komornik się uśmiechał.

— Niech pani będzie spokojną, rzekł, poradzimy na wszystko.

— Ja bo znowu, przerwała Manusia, nie choć być nikomu ciężarem, człowiek ma swoją dumę. Trzeba się rachować z tem co się ma. Poradzisz co dla Karolki, to trzeba zmykać nazad, nie ma rady. Mnie ta Warszawa nie w głowie, niech ona tam sobie będzie jaka chce, nie jestem ciekawa.

Komornik wstał i pod pozorem interesu chciał pożegnać dawną znajomą, ale go zatrzymała.

— Kiedyż się zobaczymy? zmiłuj się, ja do pana Jana tylko jechałam. Daruj, przebac.

— Przyjdę na obiad do hotelu, i panią na niego proszę, bo ja sam zadysponuję, rzekł Pampowski, proszę czekać na mnie i o nic się nie turbować.

Z wdzięcznością chwyciła go za rękę Manusia i łączyła się jej w oku zakreśliła.

— Słowo daję, że zawsze taki pocziwy, dobry ten pan Jan, jak drugiego nie ma na świecie.

Karolka, a chodź ze się pożegnaj! a to byś siedziała tylko w oknie.

Pędem wybiegło dziewczę, dygnęło komornikowi, kiwnęło mu poufale po wiejsku głową i nazad.

W dosyć ciemnym korytarzu komornik długo drogi nie mógł znaleźć, nie dla tego żeby ona wistocie do wyszukania trudną była, ale w głowie mu się kręciło.

Wspomnienia z tych lat poprzedzających jego wyzwolenie, uprzytomnione widokiem Manusi i córki tej tak przypominającej ją samą, iż panu Janowi serce się w piersi pomieścić nie mogło, gdy na nią patrzył. Kłopot z tą kobieciną, która niespodzianie mu spadła z łeba czy—nie wiedział z kąd—wszystko to razem wymagało tak namysłu i wniósł w siebie, że pan Jan z hotelu krakowskiego zwykłych nie podejmując ekskursyj kawalerskich, wprost się przemknął do domu i chłopcu zakazał kogokolwiek bądź przyjmować.

Padł w fotel swój—i pograżył się cały w myślach. Manusia, nie mógł zaprzeczyć że się w niej kochał, że była uroczą dziewczeczką—a teraz—mimo że wiele w niej zostało dawnego wdzięku, jakże okrutnie wydała mu się pospolitą i na oznaczenie wyrazu mu brakło. Za to Karolka wywarła na nim wrażenie niezmierne, był to żywy obraz matki, obu-

dzający uczucie z przed lat szesnastu, odmładzające, nad wyraz silne.

Byłby się w niej zakochał, gdyby nie uważał tego za zbrodnię (a był skrupulatny niezmiernie), by z matki na córkę przelać uczucie. Wstrząsnął się na samą myśl takiej niegodziwości.

Co miał zrobić z wdową i jej córką—nie mógł jeszcze na prędce obmyślić. Karolka od matki odstąpić nie chciała, Maniusia jej porzucić, cóż było pociągać? Chyba je przenieść do Warszawy z tysiącem złotych całego majątku i tu pomódz do wychowania.

Z drugiej strony taki dobry uczynek, do którego skłonny był Pampowski, nie mógł być utajonym, ztąd rosłyby plotki—i los przyszył komornika cierpieć by na tem. Komornik ilekroć los go stawiał w przykrem położeniu, jako ozłek sumienny względem drugich i siebie, pedantycznie zwykł był poddawać rozbiorowi ścisłemu wszystkie węzły jakie miał do rozwiązania. Siedział i dumał, a mimo że zobaczył znów swą Maniusię w której kochał się niegdyś mocno, nie bez pewnych oznak współczucia z jej strony—przybycie tego zestarzałego aniołka kłopotowało go. Teraźniejsze jego stosunki społeczne wyżej dziś sięgały, nieubłagana przeszłość ściągała go nazad w tę sferę, o której radby był zapomnieć.

Lecz—nie miałże pewnych obowiązków dla pocziwego serca kobiety, które jeszcze wierzyło w niego? nie byłoż powinnością ulitować się nad tą matką troskliwą o los dziecięcia? Komornik wyrzucał sobie egoizm—i potniał. Dałby był chętnie coś na wychowanie Karolki, ale w małym prowincjonalnem miasteczku, środki wychowania były bardzo ograniczone.

Miłość gorąca niegdyś dla Maniusi, której ojciec wów-

czas stanął ze stanowczem *veto* na przeszkodzie, wydając ją za Pędrakowskiego, teraz była tylko wspomnieniem. Dawniej nawet nie miała ona praw większych nad ucałowanie tłusciuchnej rączki—komornik nie był nic winiem—a jednak ozuł się związanym.

W niepewności wielkiej co ma począć, dotrwał na walce z samym sobą do czasu obiadowego i nie postanowwszy musiał iść do Krakowskiego hotelu, gdzie w osobnym pokoju czekało zamówione przyjęcie.

Maniusię zastał ubraną, to jest o wiele śmieszniejszą i mniej ładną niż zrana była, włożyła bowiem co miała najlepszego i najkosztowniejszego, a zatem najstarszego i wyszłego z użycia i mody. Chciała się biedaczka uczynić jak najpowabniejszą, bez złej myśli, aby dawnemu adoratorowi przynieść miłe wspomnienie. Karolka też wystąpiła w sukni przerobionej z matczynej, jedwabnej i ohodziła w niej jak okradziona, ale młodości we wszystkim ładnie, i śmieszniejszą, choćby chciała, stać się nie może.

Pampowski mimowolnie pomyślał, ooby to powiedzieli dystyngowani przyjaciele jego, gdyby go w tem parafiańskim towarzystwie ujrzeli! Zasiadli do stołu. Komornik choć chciał być w dobrym humorze, zebrać się nań nie umiał. Widać było zakłopotanie.

Obiad w hotelu Krakowskim, choć Pampowski zepsuty teraz lepszą kuchnią ledwie go mógł wziąć w usta, gościom jego wydał się pańskim i wspaniałym. I nie dziw, Maniusia z córką, w domu się ograniczały lada jaką polewką i kawałkiem mięsa, często odgrzewanego, kaszą i kluskami, choć pomimo to obie wyglądały jak róże. Deser, ponieważ był zapłacony, damy z wielką łapczywością schowały do kieszeni, zapewne w myśli zawiezienia go z sobą i pochwalenia nim na prowincyi.

Przy obiedzie z powodu Karolki, o interesach mowy być nie mogło, Pędrakowska karmiła komornika wiadomościami o jego dawnych a zapomnianych znajomych, dependentach rejenta a jego kolegach, urzędnikach, ich żonach i córkach.

Z owych dni młodszych ledwie co pozostało: starsi pomarli, a dzieci dorastając przemieniały się do niepoznania.

Po sprzątnięciu deseru komornik damy odprowadził do ich mieszkania, Karolka wyszła do drugiej izdebki sięść w oknie, a Manusia, nie śmiejąc się naprzykrzać, bo kobiecina była nieśmiała i trwożna, czekała wyroku. Komornik znalazł się heroicznie, czuł potrzebę poświęcenia się.

— Posłuchaj mnie pani—odezwał się gdy córka wyszła—pannie Karolinie.

— Ale, zlituj się, mów bo Karolce, i po wszystkim.

— Karolce—poprawił się Pampowski—trzeba dać wychowanie, bo to znaczy więcej niż majątek. Ja pomogę, musicie się przenieść do Warszawy, tu parę lat pochodzi na pensję.

— A zkadzie ja na to starożę?—łamiąc ręce odparła Manusia—z łaski waszej ja nie mogę korzystać, bo by mi sumienie nie dopuściło. Nie mogę, bo nie mam prawa! Choć prawda żeśmy się kochali, ale co z tego? Los nas rozerwał i obcy sobie jesteśmy... Jam już dziś stara...

Spuściła głowę Manusia na węzełek od chustki, który kręciła w ręku.

— No, i powiem otwarcie—gdybyś komornik mi pomagał, jak mówisz, to słowo daję, złe języki gotoweby tłumaczyć niepoczywicie. Mnie chodzi dla siebie i dla dziecka o reputację i pamięci pocziwego Pędrakowskiego nie chcę czynić krzywdy.

Słowo daję! nie wiedzieć co by gadali na mnie i na komornika... niesprawiedliwie, bo żeśmy się kochali, toć prawnie, ale przecie... przecie.

Już dokończyć nie mogła, biedna komornik siedział zamysłony.

— Cóż kto ma wiedzieć o tem czy ja pomagam czy nie? — odparł. — To zostanie między nami. Jak Bóg da Karolce lepszy byt... czy te... czy tego — no to mi tam się wyplacicie, częściami... jak się tam złoży... Wdowa wzdychała, łzę otarła.

— Sama już nie wiem! a! Boże miłosierny natobnij mnie co ja tu mam począć. Żeby nie dziecko, słowo daję.

Pampowski dodał raz jeszcze iż Karolki wychowanie stanowiło całą przyszłość; starał się uspokoić wdowę.

— Zebym ja tam niewiem co zrobiła, — odparła, gadająca z tego urośnie, będą na mnie psy wieszali niesprawiedliwie.

— Namysł się pani do jutra — dodał Pampowski — i nie odrzucaj mojej przyjacielskiej ofiary. Będiesz pani sama, niezechcesz mnie widzieć, dla uniknienia posądzeń, no to ja się zdala trzymać obiecuję...

Manusia z wdzięczności i frasunku płakała. Tak się pożegnali, a komornik wyszedł na świeże powietrze z brzemieniem wielkiem na piersi.

Jakim sposobem widok tej miłości zwietrzałej podział nań przez jakąś analogią czy antytezę, przywodząc mu na myśl piękną Henrykę? jest to psychologiczną zagadką.

Manusia rozwiała się w mgłę szarą, a wizerunek pani Bromberg żywo stanął mu przed oczyma.

W nagrodę za to co poniósł, zdawało mu się że miał prawo pójść do wdówki, okazującej mu tyle współczucia i

poocieszyć się widokiem jej dystygowanej, arystokratycznej piękności.

Już był w drodze do niej, gdy zdala za sobą posłyszal:

— Pampowski! Pampowski!—grubym głosem stłumionym, w którym poznał Hortyńskiego. Odwrócił się z uśmiechem kłamanym.

— Już ty mi się dziś nie wykręcisz—porywając go pod rękę — zawołał przyjaciel, brak mi do wista czwartego a z dziadkiem grać nie cierpię, musisz ze mną iść! Jak Boga kocham, kobieciarz jesteś, to ci wejrzzenie ładnej panny, jaką jest siostrunia, temu nikt nie zaprzeczy, zapłaci za facygę.

Przyczepił się doń jak pijawka.

— Co? nie ładna powiesz może? ty, stary bałamucie.

— Nie tylko ładna ale bardzo piękna!—zawołał komornik—ale, co mi z tego?

— Jakto, co ci z tego!—rozśmiał się Hortyński.—Co pleciesz?

— Nie plotę, boć taka jak ona nie spojrzysz nawet na Pampowskiego!

— Siostra nie siostra, komorniku— począł śmiejąc się przyjaciel, ja ci powiem otwarcie, kto je tam zna i wie co one myślą! Musiałeś słyszeć że miała partyę świetną, bo się o nią hrabia Włodzimierz starał. Byłby się ożenił, ale familia nie chciała ani słyszeć o tem. Poufnie ci to zwierzę, umarł teraz ojciec hrabiego, a że widać w nim stara miłość nie wygasła, parę dni temu stawil się już swobodny, prosząc o rękę.

Komornik słuchał ciekawie i nieco zdziwiony.

— Słowo honoru daję, tak było—mówił dalej Hortyński. Cóż ty myślisz zrobiła ona? he?

— Albo ja wien?

— No, przyjęła go grzecznie, zimno i powiedziała że miała się czas rozmyśleć, małżeństwo byłoby niestosowne i przyszłość niepewna, familia zawsze by ją uważała za intruza. I odmówiła!

Pasye mnie ostatnie porwały—kończył brat, gdy się o tem dowiedziałem, odmówił taką partyę! Otoż masz kobiecą fantazyę! Któż teraz cdgadnie na kogo będzie patrzała i kto jej do smaku?..

Heroiczny postępek panny Hortyńskiej zdumiał również komornika jak brata, podniósł wysoko pannę w jego oczach, lecz nie dodał mu nadziei. Poszedł na wista wzdychając że u pani Brombergowej być nie może. Przyjęła go heroina jak zawsze twarzą, wesołą, trochę szyderską ale życliwą.

Nim do wista usiedli, Pampowski czuł się, jako kawaler, w obowiązku zabawiać piękną pannę; obserwował ją bacznie, lecz świeżo dopełnionej ofiary ręki człowieka, którego wedle wszelkiego prawdopodobieństwa koobać musiała, nie było śladu w twarzy i rozmowie. Humor miała zwykły i najmniejszego cienia tęsknoty, żalu, smutku.

Charakter ten dumny komornikowi jeszcze ją sympatyczniejszą uczynił.

Po Maniusi wszystkie panie teraz wyglądały mu tak pańsko, tak arystokratycznie.

Zasiadłszy do wista miał komornik projekcik, gdyby się trzy robry skończyły przed jedenastą, dorozkę wziąć i zjechać do Brombergowej, która z teatru późno wracała i o tej godzinie przyjmowała. Ponieważ dnia tego wszystko mu szło na przekor, obawiał się że i to się nie uda, tymczasem Hortyński wygrał, był w dobrym humorze i po trzech robrach wypuścił gości.

Pampowski poszedł na pożegnanie, starą modą pocałować w rękę pannę i miał przyjemność posłyszeć: niechże pan komornik o nas nie zapomina.

Polechtało go to przyjemnie.

— Hm! — rzekł do siebie wsiadając do dorożki — cuda się na świecie trafiają, miałażby mieć do mnie inklinację?

Imię panny — Albina! towarzyszyło mu aż do drzwi pani Henryki.

W przedpokoju — usłyszał już wesołą i ożywioną w salonie rozmowę. Lokaj go wpuścił bez trudności. Za stołem siedziała piękna Henryka, a na dwu krzeselkach Mahoński, na którego się miała gniewać, i baron Mahlhagen, palący cygaretę.

Tylko hrabiątka Lucysia brakło. Zdziwił się dobremu humorowi gospodyni i tym późnym u niej gościom, lecz nie mniej przyjemnie mu było że ją zastał i że z czoła jej zeszły chmury.

Gdy Pampowski wszedł, Mahoński i gospodyni spojrzeli po sobie i na niego. Baron wcale nie uważał na przybysza, niezmiernie był wesoły a natarczywy do pani Henryki. Rozmowa z nim toczyła się po francuzku, a choć język ten Pampowskiemu nie był obcy, nie łatwo jednak chwycił prędko sypane wyrazy, i czasem ciemne dlań były.

Widek Brombergerowej wywołał znowu porównanie z Maniusią. Spuścił oczy, nie śmiał się przyznać przed sobą, iż tamta przy niej wyglądała na kucharkę.

— To bo — pani całą gębą!

Miał czas i swobodę na uboczu czynić spostrzeżenia, gdyż nikt się nim nie zajmował i nie zdawał troszczyć o niego. Brombergerowa żywo rozmawiała z baronem i zdało się komornikowi (uczuł zazdrość), iż wcale dlań była miłą. Wprawdzie czasem ostro odpierała jakieś jego napaści, któ-

rych Pampowski dobrze nie rozumiał, lecz w tej surowości była razem poufłość zbytnia i rażąca.

Wśród bardzo żywych sprzeczek z baronem, oczy wdówki latały w ciemny kąt ku komornikowi, i mówić się zdały: — Poczekaj i na ciebie przyjdzie kolej! Siedział więc i zabawiał się kontemplacją.

Mahoński, jakby czuwał nad baronem, z którym przyszedł, nie ostępował od nich i od stolika. Siedzieli tak wszyscy, jak gdyby jedni drugich chcieli przesiedzieć. Parę razy wstawał Pampowski, lecz nieznacznie dawała mu znać wdowa, by został. Naostatek ruszył się Mahoński, wstał Mahlhausen, wyszedł z kąta i komornik, żegnali się wszyscy, gdy pani Brombergowa szepnęła mu do ucha.

— Mam interes! zostań pan!

Było to rozkazem, uszczęśliwiony zawrócił się od drzwi.

Piękna gospodyni poszła do kanapy i siadła smutnie zamysłona.

— Ten nieznosny Mahoński, odezwiała się po długim przestanku, naprowadza mi tu gości. Baron człowiek przyjemny, znać że z lepszego świata, ale to tylko bałamuty.

Każdy z nich radby z położenia osamotnionej, bez opieki zostającej kobiety korzystać, a na żadnego z tych elegantów rachować nie można.

Gdy to mówiła, głos jej zwykle ostry, stał się przykrzejszym jeszcze, groźnym prawie.

— O! ci mężczyzni, dodała podnosząc białą pięść do góry, wszystkichbym wytopiła!

Zwróciła się ku komornikowi, który miał tego dnia kondolencyjną fizyognomię. Spojrzała nań i uśmiechnęła się.

— Panabym tylko darowała zyciem! bo jesteś dobry człowiek, ale ta młodzieź!

Przysunęła się po kanapie z wolna ku Pampowskiemu — Prawda, rzekła — pan jesteś dobry człowiek??

— Pani dobrodziejko, odezwał się z głębokiem przejęciem komornik, pochlebiam sobie, że jestem przynajmniej uczciwym człowiekiem.

— Ale i dobrym! i dobrym! dodała chwytając go za rękę Brombergerowa. Pampowski doznał takiego uczucia od dotknięcia jej ręki, iż się uląkł apopleksyi. Drugą dłonią powiódł po czole.

Henryka przysunęła się bliżej jeszcze, nie puszczając jego ręki.

— Mam do pana prośbę, rzekła nagle. Nie chcę nikogo innego prosić oprócz was. Wiem pewnie, żeby mi to ochętnie zrobił Mahoński i każdy z tych panów, ale oniby sobie wyobrażali, że to im daje jakieś prawa.

Tak, dodała zapominając się, dziś palił cygaretkę pan baron, a jutroby z nogami na kanapę się położył.

Komorniku, daję ci słowo, że oddam, ale w tej chwili możesz mi pożyczyć?

— Wiele? zapytał z gotowością oddania wszystkiego co miał Pampowski. Wiele i kiedy?

— Zawierzysz mi—tysiąc rubli! Mówiła to z obawą, jakby żądała nadzwyczajnej rzeczy.

Pampowski miał we zwyczaju dla szyku nosić przy sobie trzy tysiące zawsze, tego dnia wziął je tem pilniej, iż myślał ofiarować zręcznie coś Maniusi albo Karolce na cukierki. Chwycił się więc za kieszeń, dobył pugilares i zamiast odpowiedzi, ręką drżącą z pośpiechu, położył na stole sumę żadaną.

Czarne oczy na widok papierków zaiskrzyły się, usta uśmiechnęły. Wstała z kanapy piękna gosposia i znowu za ręce ująwszy Pampowskiego, krzyknęła:

— Ty jesteś nie dobry ale złoty człowiek! Słowo daje, ja cię—kocham!

Ze śmiechem to mówiła, a komornik,—zdało mu się, że go skrzydła aniołów ku niebiosom unosiły.

Przykląkł w wielkiem uniesieniu i zawołał:

— Pani, za to słowo, choćby życia!

Brombergerowa parsknęła śmiechem patrząc na kłęzącego, lecz natychmiast twarz jej się oblokła takim jakimś smutkiem, takim bólem, że komornik się zastraszył.

Upadła na kanapę i dodała zimniej:

— Dziękuję ci... bardzo dziękuję. Wybawiłeś mnie z wielkiego niebezpieczeństwa.

Jakby sobie coś przypominała, zawołała do drugiego pokoju na starą towarzyszkę, aby jej dała papier i pióro.

— A to na co? spytał komornik.

— Napiszę panu!

Pampowski się oburzył i chwycił za kapelusz.

— A to cóż znowu? odparł. Dobranoc pani.

Wdowa wstała przeprowadzając go do drzwi. Była zmienioną, inną, smutną, lecz z uczuciem ścisnęła mu rękę, głosem łagodniejszym dodając pocichu:

— Pan jesteś tak... delikatny, żeś gotów nie śmieć potem przyjść, aby to nie wyglądało, że się przypominasz. Otóż proszę pana, bywaj u mnie codzień, bardzo proszę, pan mi jesteś potrzebny, ja w panu mam opiekuna! Ci wszyscy, ta młodzież, to funta kłaków niewarta!

Niezmiernie czule pożegnany, potoczył się Pampowski po wschodach—szczęśliwy!

Serce mu się tłukło w piersi, mówił sobie, że na ten raz kochał i był kochany. Raj się przed nim roztaczał.

A Maniusia?

Czuł dla niej—litość serdeczną, wielką, którą szczęście

doznane powiększyło tylko. Chciał, aby i ona i Karolka i wszyscy jeneralnie byli szczęśliwi. Cały świat, oprócz tych trutniów, na których Henryka się skarżyła.

Spiewając doszedł do domu, i staranniej niż kiedykolwiek rozpoczął swą toaletę wieczorną.

Zęby, które wyjął z ust, wydały mu się wymagającymi odnowienia. W takim położeniu w jakim się znajdował, nie wypadło na nic żałować. Tupet mógł także dostać zastępcę.

Poczuł łamanie w kościach i kazał się chłopcu wysmarować opodeldokiem, w którego wierzył skuteczność. Nazajutrz kąpiel, zapach jego zdradliwy, starość obrzydłą, przypominający, miała złagodzić. Zasnął z uśmiechem na ustach.

Następny dzień jeszcze pozostawała Manusia w Warszawie, chciała ją Karolce pokazać. Komornikowi wypadało towarzyszyć im, lecz na samą myśl, że go spotkać mogą z tym zakazanym towarem znajomi, tupet mu na głowie powstawał. Wytlómaczył się przed Manusią, że aby ją nie kompromitować, nie wypadało im jeździć razem. Najął jej na cały dzień znajomego doróżkarza, powiedział gdzie miał jechać z niemi, a sam obiecał się dopiero na wieczór.

Spędziwszy dzień w towarzystwie młodzieży, aby nie zrywać z nią, komornik poszedł o mroku do Hotelu Krakowskiego. Został Manusię i córkę jej rozgorączkowane jeszcze Warszawą. Nie mogły się wstrzymać od pytań, opisów, uwag najpociesznieszych. Karolka nawet śmiałości nabrała i wystąpiła przed przyjacielem mamy z całą swą pół-dzienną żywością i paplaniną. Komornikowi tak przypominała Manusię, że aż mu się zrobiło przykro, smutno i dziwno. Nie wyobrażał sobie, aby natura mogła dwa typy reprodukcować tak wiernie, jakby w jednej formie odlane były.

Ponieważ Manusia już stanowczo się nazajutrz do dnia wybierać chciała, aby w hotelu za jedną jeszcze dobę nie płacić, przyszło do stanowczej rozmowy. Pampowski na wychowanie Karolki dawał, tytułem pożyczki (aby nie obrażać matki), po dwa tysiące złotych rocznie. W dodatku skłamał, że miał w pewnym dworku mieszkanie darmo dla nich.

Miała więc Pędrakowska natychmiast spieniężyć rewanża i przybywać do Warszawy, a dla uniknięcia złych języków, komornik przyrzekał rzadko bywać i—nie dawać najmniejszego powodu do ośmieszenia. Wdowa i Karolka były szczęśliwe i mocno pomieszane. Pannie kazano dziękować, co dopełniła dosyć niezgrabnie i Pampowski wyszedł z uspokojeniem sumieniem.

Tyle razem rozmaitych wrażeń w tych dniach tak nań podziałało, iż się czuł nieco zmęczonym. Mimo to na wieczór pociągnął, aby nie domyślano się czegoś i nie drwiono z niego. Tu trafił na Mahońskiego, hrabiego Lucysia i mnóstwo podochoconych. Gdy go zobaczyli we drzwiach, już rozpoczęli żarty stroić. To czego właśnie chciał uniknąć, spadało nań z całym brzemieniem podchmielu.

Pampowski więcej niż kiedy czuł godność swoją. Wszedł z miną seryo.

— Pamposiu! krzyknął Mahoński, mów—mamy spełnić twe zdrowie jako narzeczonego panny Hortyńskiej, Filomeny Miętoszewskiej, czy pani Brombergerowej z domu Sulimskiej?? Oblicze twoje powagą wielką obleczone, zwiastuje nam, że nadeszła wielka godzina, że spełniły się wyroki! że ty nareszcie wstąpisz w ten stan, z którego już wystąpić nie ma sposobu.

— Dałbyś pokój! odparł kwaśno Pampowski.

— Łyżką je sero, dodał Mahoński. Wszędzie on! zawsze on! gdziekolwiek parna zrzuci spodnie, on już jest

przy jej boku pierwszy! Jeżeli nam się nie wiodą bałamu-
ctwa, on przyczyną! on! on!

Chórem wołano: on! on!

Komornik miał minę kwaśną, młodzież była po tuzinie
szampana.

Hrabia Lucyś z kieliszkiem w ręku leżał na fotelu i pa-
trzał w perlący się płyn, który mu już nie^{śm}akował.

— Ten komornik, począł—winien temu, że mi Henry-
sia drzwi zamknęła! Gdzie on jest, zaraz do jego tonu się
stroją, i ja stanowią dysonans. Udaje młodego z nami,
a śmierdzi stachlizną.

— Panie hrabio! rzekł seryo Pampowski.

— Słuchaj, dodał młodzik podnosząc się nieco. Masz
się żenić z Henrysią tą, no, to żenże się prędko, abym potem
łatwiejszy miał wstęp do niej.

— Panie hrabio! powtórzył Pampowski.

— Wprawdzie, mówił wcale na niego nie zważając Lu-
cyś, mógłbym przez tę starą babę, co przy niej jest, otrzy-
mać wnijsicie do wdówki, bo taksa mi wiadoma, ale wolę po-
czekać.

Domawiał tych słów, gdy Pampowski oburzony, rzucił
na niego rękawiczkę, która mu na kolana upadła.

— Pan hrabia ubliżasz osobie, którą ja szanuję, zawo-
łał, ja nie pozwolę na to! Ja nie pozwolę!

Ogromny śmiech rozległ się po sali, ale Lucyś stanął
równemi nogami, pąsowy, kieliszek mu wypadł z ręki. Chciał
się rzucić na komornika, pochwyceno go.

— Ty, stara jakaś purchawko! krzyczał Lucyś, ja ci-
leś roztrzaskam.

— Niewiadomo kto komu, z zimną dosyć krwią odparł
komornik. Proszę pana Józefa, aby był moim sekundan-
tem i umówił się o warunki.

To powiedziawszy Pampowski, kapelusz na głowę włożywszy, majestatycznie się wytoczył z restauracyi, a Lucysia przyjaciele przytrzymali.

Była to katastrofa. Komornik wprawdzie nauczył się był z pistoletu strzelać jako tako, bo to należało do atrybucyj młodzieńczych, lecz hrabia Lucyś sławny był z wbijania kul na świeczki.

Zabić człowieka nie znaczyło dlań nic, owszem mogło mu to być przyjemnem, nadając pewną fizygnomię mniej studencką.

Niebezpieczeństwo czuł dobrze Pampowski, lecz—szło o honor kobiety, którą uwielbiał. Wprost do domu poszedł opatrywać pistolety, nie spał do rana, gdyż musiał napisać brulion nowego testamentu. Zmuszał go do tego obowiązek i słowo dane Maniusi...

Zaledwie nad ranem drzemać począł, gdy Mahoński był u drzwi.

— Co ci się stało?—zawołał od progu—ślicznieś się wykierował. Lucynia od pojedynku staraliśmy się na wszelki sposób odciągnąć, ale się bestya uparł, bo mu to na rękę, zabije cię jak muchę.

— Niech zabije!—odparł Pampowski.

— Może gdybyś go publicznie przeprosił.

— Nigdy w świecie! Tu idzie o honor kobiety.

Mahoński z dziwną obojętnością ruszył ramionami i począł się śmiać.

— A znasz że ty ja!—zawołał.

— Znam! znam! — krzyknął komornik — osoba godna szacunku, osoba która, osoba co tego... osoba.

Mahoński zapalał cygaro.

— Głupstwo robisz! — rzekł zimno. — Masz że testament?

— Będę go miał — rzekł komornik—kiedy się chce strzelać?

— Choćby dziś, kipi smarkacz! pilno mu! a ty szaleństwo robisz.

— Wolno mi szaleństwo zrobić gdy chcę! przecież małoletni nie jestem!—ofuknął się Pampowski.

— Zatem jutro... ażebyś ostygł, jutro do dnia za rogatkami Wolskimi, przyjadę po ciebie. Lucyś ci nie pozwolił! Rękawiczka twarzy dotknęła.

— Bom chciał tego!—dokończył komornik.

Mahoński począł się przechadzać i dał mu ochłonąć.

— Stało się—rzekł puszczając dym z cygara, no, stało się, ale ja ci raz jeszcze powiadam, szkoda mi ciebie, załuję cię do tej Henryki zaprowadził, będę miał na sumieniu.

Komornik dał mu znak ręką aby milczał.

— Seryo ci mówię, testament zrób, bo z tym... nie ma żartu..

Chce mu się tej glorioli, że już jednego przynajmniej położył trupem.

Pampowski nie odpowiadał i właśnie dla testamentu, który chciał złożyć u rejenta, prosił aby Mahoński mu nie przeszkadzał. Rozesali się więc, i komornik w istocie natychmiast na Miodową ulicę pojechał, gdzie ostatnią swą wolę zmodyfikowaną, w aktach zapisał.

Pokrzepiwszy się nieco, uczuł potrzebę pożegnania tej, którą teraz jeszcze więcej kochał.

Godzina była mniej zwyczajna, i w przedpokoju stojący lokaj ów w liberyi na widok komornika trochę się zmieszkał, kazał mu zatrzymać się chwileczkę, widać było jakąś bieżącą po domu, słychać szepty, wreszcie wpuszczono

Pampowskiego i pani Brombergowa wyszła do niego błada i jakaś n'espokojna.

Spojrzała nań dziwnie.

— Czyż to prawda co mi mówił Mahoński?—spytała.

— Co? jak?

— Pan wyzwalałeś hrabiego?

Komornik, który się chciał z tem taić, zakłopotał się.

— Ale — co tam... to moja osobista z nim sprawa — rzekł.

— Pan słyszę się za mnie ująłeś—dodała niespokojnie zaczynając chodzić po pokoju.—Po co było tak się gorączkować, niechby sobie plótkł co chciał.

— Ja tego znieść nie mogłem...

— A ten student, słyszę, strzela doskonale—poczęła wdowa.—Pan możesz życiem przyłacić tę—prędkość. Pan mnie nie znasz nawet, czy ja tego jestem warta?

Ostatnie słowa wyrwały się jej ze wzruszeniem:—Pan nie wiesz kto ja jestem...

— Pani jesteś kobietą i bezbronną—odparł Pampowski—a ja panią szanuję, ja panią adoruję!

Uśmiechnęła się smutnie, smutnie zapatrzyła w okno i głęboko westchnęła.

— Do wszystkich moich nieszczęść — szepnęła—tego jeszcze było potrzeba!

Podniosła rękę ściśniętą do góry, jakby groziła niebu.

Komornik obawiający się rozezulić, bo czuł że mu się na to zbierało, znalazł się rycersko. Chwycił ją za rękę, pocałował i — drapnął.

Słyszał za sobą wołanie, lecz się już nie zwrócił. Uni-

kając domu, aby go kto tam nie gonił i nie męczył, Pampowski siadł do dorożki i kazał się wieźć za miasto.

Tak był przejęty, gniewny, poruszony, zburzony, iż strachu, który czuć był powinien, wcale nie doznawał. Giąć — być skaleczonym, wszystko mu było jedno. Kochał tę kobietę i był — tak sobie mówił, — choć trochę kochanym.

Przytem, ludzkie to są uczucia; pojedynkować się z hrabią autentycznym dodawało glansu, być zabitym czy niło sławnym. Ród Pampowskich na swojego potomka skarżyć się nie mógł.

Ranek był śliczny, letni, gdy komornik z Mahońskim i przybranym przez niego niejakim panem Sredzkim, stanęli na placu.

Sekundanci przewidując następstwa pojedynku byli pośpni. Komornik brawował.

Zaledwie miejsca szukać zaczęli, gdy huczno bardzo i hałaśliwie zajechał hrabia Lucyś, sam się powożąc amerykanką, skoczył natychmiast z niej rzucając ogle służącemu i począł wołać aby pośpieszano, bo czasu nie miał.

Ktoś zrobił uwagę że doktora brakło.

— Po co? — zaśmiał się młokos — mnie nic pewnie nie zrobi, a ja go ubiję!

Galopem szły przygotowania, a Lucyś się jeszcze niecierpliwił, krzyczał i znajdował się w ogólecale nie przywoicie; zły był, jak powtarzał, że nie wiedzieć z kim bić się musi — i — niewiedzieć o kogo.

Musiano go hamować i usta zamykać.

W ostatku, wszystko było gotowe, przeciwnicy stanęli na oznaczonych miejscach o trzydzieści pięć kroków, za co się gniewał Lucyś, ale przy tem sekundanci obstali. Strzelać miano nie idąc dalej, na komenderówkę.

Komornik nie okazał najmniejszego pomieszanja, ale śmieszył powagą karykaturalną i ruchami majestatycznymi. Lucyś kręcił się jak żywe srebro.

— Raz, dwa, trzy!

Rozległy się dwa strzały.

Pampowski leżał na ziemi i krew płynęła z lewego boku. Lucyś stał i śmiał się, ale jeden z sekundantów przybiegł doń, bo i on nogę miał postrzeloną, czego nie uczuł zrazu.

Rana komornika była koleśna, ale kula się oślizgnęła po starych żebrach, porwała mięso i skaleczywszy wyszła przez. Niebezpieczeństwa nie było. Lucyś zaraz musiał sięść na ziemi — bo nogę mu drżała. Kula siedziała w kości.

Hrabia kłął we wszystkich europejskich językach, odgrażał się, chciał drugi raz strzelać, ale naprędce komornika powieziono do miasta. Lucysia ledwie na rękach zanie-siono do amerykanki.

Rana jego była bardzo groźną, w pierwszej chwili doktor mówił o amputacyi. Wściekał się zrozumiwały młokos iż takie go, z takiej ręki spotkało nieszczęście, ale poprzy-sięgał że byle ozdrowiał, napadnie Pampowskiego, zmusi do pojedynku i zastrzeli.

I tym razem byłby nieochybnie trafił w serce, gdyby nabój nie targnął na włos, czy ręka nie drgnęła.

Z komornikiem nikt nie pojechał do domu, wszyscy się skupili około biednego chłopca, który tak niespodzianą odebrał naukę.

Pampowski z zimną krwią posłał po doktora, nie pi-snąwszy dał ranę opatrzyć i spytał tylko jak długo się ona goić może.

— Za kilka tygodni zabliźni się — rzekł chirurg — spo-

dziewam się, że komplikacyj żadnych nie będzie, że pan się zachowasz spokojnie i usłuchasz rady mojej.

Wieczorem dopiero nadszedł Mahoński w najgorczym humorze.

— Panu Bogu podziękuj żeś wyszedł obronną ręką — rzekł — o włos byłeś od „requiem aeternam“ ale niech cię tam i z twojem szczęściem i z całą historią do której ja jestem wplątany. Familia hrabiego do mnie ma główny żal, ani się teraz w salonach pokazywać, a i ty wylizawszy się będziesz musiał pewnie wyjechać z Warszawy, bo ci tu życie zatrują.

— Ani myślę, ani mogę — odparł komornik. Co się stało tego nie żałuję, a co mnie czeka, do tego przygotowany.

Drugiego dnia przybyła stara krzykliwa towarzyszka pani Brombergowej, dowiadując się o zdrowie i pytając czy pani Henryka może odwiedzić chorego.

— A! uchowaj Boże! — odparł Pampowski — jak tylko zdrowszy będę, przyjdę sam.

Pomimo tego zakazu, bardzo późno oznajmiono komornikowi przybycie Brombergowej, czem do łez był rozrzewniony. Bytność doktora skróciła te odwiedziny i zapobiegła ich powtórzeniu, gdyż zapowiedział że choremu, wzruszając go zbyt, szkodzić mogą.

Pani Henryka przystąpiwszy do łóżka — szepnęła tylko.

— Wyzdrowiej pan prędko i przychodź — mamy wiele do mówienia.

Balsamem było wejrzenie ślicznej pani, a komornik po tych odwiedzinach gdy wpadł w gorączkę, pawił tylko o aniele, którego prowadził do ołtarza i wieczną mu miłość przysięgał.

Czas upływał a rana nie tak się rychło goiła, jak zapowiadano.

Brombergowa nie mogąc sama bywać u Pampowskiego, pisała bilety, przysyłała starą i—i dwa razy pożyczyła jeszcze pieniędzy. Zdaje się że tęsknota po Pampowskim nie była zbyt dokuczliwą, gdyż bawiono się dosyć wesoło wieczorami.

Baron Mahlhausen był gościem codziennym, a oprócz niego kilku młodzieży wprosiło się prz-z Mahońskiego i przychodzili też dosyć często, a bawili bardzo długo czasami.

Można sobie wyobrazić przerażenie biednej Maniusi, gdy spieniężywszy co miała, z wielką biedą, jedyną nadzieję pokładając w opiece, dowiedziała się przybywszy do Warszawy, iż Pampowski ranny w pojedynku leżał jeszcze mocno cierpiący.

Z krzykiem wielkim padła biedna kobieta i zemdląca. Obawiała się wszelkiej kompromitacyi dla pamięci poczciwego Pędrakowskiego, lecz teraz posłyszawszy o nieszczęściu jakie spotkało komornika, gotową była iść, siedzieć i pilnować go w chorobie. A była najpewniejszą iż tego nikt lepiej nad nią nie mógł dopełnić, bo nieboszczyk chorowity był i przy nim nauczyła się ziółka gotować, kłaść kataplasmy a co najlepsza, znosić wszystko cierpliwie i ze łzami chodząc do kątku.

Rozmyśliwszy się, biedna kobieta i siebie poświęcić i Karolkę, dla okazania wdzięczności tak dobremu człowiekowi, była gotową. Napisała więc do niego łzami oblaną karteczkę, która ten cudowny sprawiła skutek, iż komornik z przestachu wstał i chciał z raną obwiązaną iść się wyprasać od ofiary.

Coby na to ludzie powiedzieli! Co pani Brombergowa,

o której zawsze jeszcze myślał jako o bóstwie, które go miało uszczęśliwić.

Deaperacki zamiar wyjścia z domu ledwie nie ledwie potrafił od wykonania powstrzymać doktor, zagrażając Pampowskiemu iż go długą chorobą może przypłacić. Nie było sposobu jak tego samego doktora wtajemniczyć, wzięwszy od niego słowo honoru, w całe dzieje przeszłości i prosić go, aby on zajął się umieszczeniem Maniusi i uspokojeniem biednej.

Doktor, człek praktyczny i estygły, przekonawszy się ze zdumieniem że są ludzie którzy nie starzeją, chętnie się podjął poselstwa.

Komornik niespokojny został w domu oczekując na wiadomość i nie odetchnął swobodniej, aż gdy mu nazajutrz doktor śmiejąc się zwiastował, że jego protegowana mieć będzie mieszkanie i nie prosi o nic więcej, tylko by dobroczyńcę i przyjaciela choć na chwilkę z Karolką odwiedzić mogła i podziękować mu.

Pampowski, choć teraz rzadko kto u niego bywał, tak się lękał aby tych odwiedzin nie wzięto na języki, że godzinę na nie naznaczył bardzo wczesną i przedsięwziął środki ostrożności nadzwyczajne, aby nikt do niego w czasie bytności Maniusi wpuszczonym nie był.

Biedna Pędrakowska z córką w strojach odświętnych przyszły nazajutrz, a na widok zbladłego i postarzałego przyjaciela, rozpiękała się stara Maniusia, co za serce chwyciło komornika.

Zabawiły u niego z pół godziny, a gdy nareszcie wyszły, Pampowski długo w krześle zamysłony siedział, powtarzając sobie:

— Proste kobiecisko, ale pocziwości kobieta! Złote serce!

Karolka, która więcej się przypatrywała mieszkaniu, sprzętom i elegancyom Pampowskiego niż jemu samemu, mniej już uczyniła wrażenia na nim, choć żywym była matki obrazem.

Wspomnieliśmy już że dawni przyjaciele komornika zupełnie o nim w czasie choroby zapomnieli i zaniedbali go. Wielu z nich brało stronę hrabiego Lucysia, lecz gdy ten powoli do zorowia przychodzić zaczął, a rodzina go od dawnego towarzystwa osłaniała, zwołała sobie przypominać zaczęto Pampowskiego. Miał on tą dobrą stronę że pieniędzy pożyczał, wieczerze i szampana często płacił i śmiać się z siebie do pewnego stopnia dobrodusznie pozwalał.

Jednym z pierwszych dawnych znajomych, acz do złocistej młodzieży nienależącym, który odwiedził chorego, był szanowny Hortyński.

Wszedł ze zwykłą swą zamaszystością i uśmiechem a żartami na ustach.

— Al dobrze ci tak, stary motylu—zawołał z progu.— Otoż tobie piękne panie, za których honor trzeba się ujmować. Ha! latałeś z kwiatka na kwiatek! Żeby kózka nie s'akala, toby nóżki nie złamała.

Siadł podając rękę choremu.

— Widzisz niewdzięczny, a to mnie do ciebie siostra moja panna Albina przysłała, aby się o szacowne zdrowie do wiedzieć. Jakże ci jest?

— Doktor obiecuje że wkrótce wyjdę—rzekł Pampowski.

Rozśmiał się Hortyński.

— No—zapewne z bóstwem tem, za które się biłeś, do ołtarza, bo powinno cię nagrodzić! He? a będziesz prosił na wesele?

Ruszył ramionami chory.

— Nie żartuj proszę—nie mam dotąd żadnego projektu. To było zajście przypadkowe, za osobę mało mi znaną, nie mogłem ścierpieć aby ją ktoś lekkomyślnie spotwarzał.

— Znalazłeś się rycersko—odparł Hortyński—wszystkie niewiasty masz za sobą! słowo ci daję!

Z godzinę pobaraszkowawszy ustąpił przyjaciel ten, a, jak to się bardzo często trafia, że szkuta się rozbije i płyną goście jedni po drugich, wkrótce po Hortyńskim nadszedł dawno niewidziany, a niegdyś przyjaciel serdeczny, wszystkiego pierwsza przyczyna, p. Józef Mahoński.

Wybierał się już od dni kilku, a nareszcie przywłókł gnany potrzebą—małej pożyczki.

Nigdy jeszcze zapasy starokawalerskie na tak nieustanne szturmy narażone nie były, jak teraz. Znaczną sumkę już zabrało bóstwo, czarnooka Henrysia, potrzeba było pomagać nieszczęśliwej Maniusi, kosztował doktor i apteka a naostatek zgłosić się miał Mahoński. Rachunkowy wielce Pampowski widział już wyczerpujące się kapitaliki, zwane, groszem na ozarną godzinę. Godzina ta wybiła była dla niego.

Mahoński wszedł z tą pewnością siebie, która go nigdy nie opuszczała. Chociaż zdezerterował od łoża chorego, do winy się nie poczuwał, a miał piękny zwyczaj, że zgrzeszywszy, zamiast się przyznać do tego, winę zwał na tego kogo obraził.

Zobaczywszy go pocziwy komornik ucieszył się, nie okazując żalu ani rankoru, uśmiechnął mu się serdecznie.

— A przecież!—rzekł, i to było wymówką całą.

— Nie mogłem wprzód przyjąć—odparł siadając bez ceremonii Mahoński — miałem dosyć biedy z powodu tego

nieszczęsnego pojedynku! At, co to gadać! Wpakowałeś nas w taką kaszę!

— Nie mogło się stać inaczej, — rzekł komornik, bardzo przepraszam. Jakże się ma hrabia?

— Nogi mu nie utną — cdezwał się Mahoński — ale podobno sattywną na całe życie zostanie.

— A wiesz — dodał wpatrując się w chorego Mahoński — że zmizerowała cię choroba.

— To odejdzie — szepnął komornik.

Po krótkiem preludium, pan Józef zagaił o pieniądze. Skrzywił się Pampowski, było mu okrutnie przykro odmawiać.

— Słowo honoru daję, że nie mam tylko tyle, ile mi samemu potrzeba!

— Tak! tak! — zawołał Mahoński — już i ty nie masz?

— Wiesz, że nie odmawiam gdy mogę usłużyć.

— Wiem, ale cóż to jest? dajesz się doić Brombergowej czy co? — począł śmiało Mahoński.

Komornik zarumienił się, lecz nazbyt był delikatny aby ją wydał z sekretu.

— Jestem pewny, że ona cię już doi! a jak raz dobrała ci się do kieszeni, nie porzuci ciebie i jej aż do dna ją wysuszy! Patrzajże przestrzegam cię, gdybyś miał miny Potozu i Golkondy i nie wiem tam jakie, gdybyś Rotszyldem był, ta jejmość do torby cię przyprowadzi. Ma talent taki obchodzenia się z groszem, że gdybyś jej dziś dał milion, jutro go połknie — i ani znaku.

Nieźmiernie przykro było słuchać tych potwarzy Pampowskiemu i począł żywo tamować wybuch ten Mahońskiego.

— Proszę cię dajże pokój! Ja tego słuchać nie chcę, nie mogę, obliguję.

— Ze mną się przecie o nią strzelać nie będziesz — mówił spokojnie Mahoński. — Sam cię do niej zaprowadziłem,

— samem cię poznał z nią, ale choć się przysłużył babie, so-
biem figla zrobił. Miałem w tobie pocziwego kasyera, a ta
mi....

— Ale proszę cię! — przerwał komornik — mylisz
się, mylisz.

— Jestem pewny, że się nie mylę. Jak tylko z tobą
dobrze jest, musi u ciebie pożycząć. Ja ją znam! dawno ją
znam! No, psuć jej interesów nie chcę, a... ostrzegam cię!

— Masz cygaro? — spytał Józef.—Pampowski pośpie-
szył z ofiarowaniem hawanny, aby przerwać niemłą roz-
mowę.

— Słuchaj że, komorniku — odezwał się Mahoński —
seryo? powiedz prawdę? myślisz się z nią żenić?

— Zapalki są na biurku! — odpowiedział komornik.

— Nie o zapalki mi idzie? żenisz się z nią? mów — na-
stawał Mahoński.

— Między nami jeszcze woale tak daleko nie zaszło —
odparł Pampowski.

— To może i lepiej — rzekł p. Józef, powoli ciągnął
dym z cygara, napędzając go sobie dla wypróbowania woni.
Wiesz, ta kobieta ma urok szczególny, ten baron Mahlhagen,
widziałeś go u niej! No, i ten powiada, że... gotówby się
ożenić!.,

Począł się śmiać mocno, chodząc po pokoju.

— To przedziwne, słowo daję!

Pampowski zamilczał, spojrzał koso, koło serca mu się
zrobiło ciężko.

Mahoński posiedział chwilę i raz jeszcze zapytawszy,
czy pieniędzy nie dostanie, odmowną ale grzeczną odpowie-
dzią odprawiony, poszedł.

Komornik zaniepokojony mocno, silnie nastał na do-
tora, aby go wypuścił z niewoli. Nadszedł nareszcie ów

dzień szczęśliwy, gdy lekarz złusmiechem mu zwiastował, iż... jest wolnym.

Rzucił mu się na szyję Pampowski jak zbawcy, uściskał go, obdarzył i natychmiast siadł do zwierciadła, aby przygotować nowe wystąpienie na scenę. W czasie choroby komornik chociaż się nie zaniedbywał całkowicie, większą część dnia spędzał w ozapeczce bez tapetu, zęby brał tylko do jedzenia. Twarz odwyklszy od nich, pofałdowała się meoniej, oprócz tego choroba wymizerowała, cerę żółciła, oczy głębiej popchnęła, i zostawiła po sobie ślady takie, jak gdyby nagle dziesiątek lat do liku przybyło. Komornik z boleścią przekonywał się, iż wypadnie mu być mniej fertycznym i przybrać powagę pewną.

Przypadało to właśnie w tej chwili, gdy radby był jak najświętszym, najmilszym się okazać przed panią swych myśli, przed uroczą Henryką; o której nie wątpił iż go ze wzruszeniem takim powita, z jakim on gotował się iść do niej.

Mączka, lekka tynta różu, o którym zapewniony był że się składa z części roślinnych, wycieranie, rektyfikacye różne niewiele pomogły twarzy. Na pociechę musiał sobie powiedzieć, jak wszyscy z krzyża zdjęci, iż będzie interesującym.

Bieda to już, gdy kto nie mogąc być wdzięcznym, interesującym być musi!

Pampowski w nowym garniturze, wyperfumowany, w rękawiczkach świeżych, w butach zwieroiedlany połysk mających, z sercem bijącym jak dwudziestoletnie, pojechał z pierwszą wizytą nie do Maniusi na Wiejską ulicę, ale do swej pani.

Na schodach słabo mu się robiło—miał widzieć tę królową, tę Wenus, ten ideał, dla którego o mało nie postradał zycia. O! szczęście! o dniu błogosławiony...

Zdrzemnięty w przedpokoju lokaj z akselbantami kwa-

śno jakoś, nie anonsując go, otworzył mu drzwi salonu. Komornik wszedł—i w progu skołowaciał.

Na kanapie z cygarem w ustach siedział baron Mahlhagen jak w domu. Przed nim stała szklanka z napojem jakimś, leżała gazeta. Na widok wchodzącego baron z wolna podniósł głowę i ziewnął. Nie wstał, nie ruszył się, zdawał się dziwić przychodniowi i grać tu jakby rolę gospodarza.

Jeszcze się Pampowski nie namyslił co z sobą zrobić, gdy kroki pośpieszne słyszeć się dały, wbiegła w rannym negliżu Henryka wprost ku przybyłemu i podała mu ręce obie, nie patrząc nawet na barona.

Dym cygara zwrócił jej uwagę.—A! i pan tu? spytała spoglądając na Mahlhagena.

— A—i ja! rzekł kwaśno baron.

Więcej już się nie troszcząc o niego, pani Brombergowa ze swym gościem poszła się pod oknem.

— Cieszę się, że pana widzę zdrowym—poczęła swym ostrym głosem powszednim—byłam o niego niespokojna.—No! wszystko skończone. Trochę zmizerniałeś!

Uśmiechnęła mu się.

— Jeszcze panu dziękuję, boś cierpiał za mnie. Bóg zapłać! Ja nigdy nie płaczę, nigdy, bo to się na nic nie zdało—dodała, ale pan, możesz się pochwalić, żeś mi łzę wycisnął. Słowo honoru! Gdybyś był broń Boże — — byłabym w desperacyi. W czasie tej rozmowy, baron z wolna podniosłszy się z kanapy, kwaśny, z wejrzeniem srogiem niemal, zaczął nakładać rękawiczki, i nie rzucając cygara, stanąwszy w środku pokoju, pocichu wybąknął.

— Adieu.

Pani Brombergowa głową mu tylko kiwnęła i wyszedł.

W przedpokoju słyszeć go było wymawiającego coś

służącemu, który się tłómaczył; potem mocne uderzenie drzwiami.

— To gbur! — odezwała się wzdychając gospodyni.

Z ciekawością wielką poczęła się przypatrywać rekonwalescentowi—trochę skłopotana nim, ale razem niby wzruszona i rozrzuwiona.

Komornik już miał stanowczo ułożony projekt oświadczenia się pięknej wdowie, szło tylko o to jak do tego przystąpić.

— Pani dobrodziejko — odezwał się, czarnemi oczyma przywiedziony do najwyższego entuzjazmu,— zdaje mi się, że dla pani i dla mnie, po tym rozgłosie jaki miał pojedynek, nie pozostaje nic innego jak — jak—to jest... że ja—że—tego ośmielałam się formalnie jej oświadczyć i prosić o rękę.

Jak przestraszona zerwała się wdowa z kozetki, twarz jej okrył rumieniec.

— Jakto! Seryo! pan myślisz? Słów jej zabrakło. Stała osłupiona i drżąca.

— Pan chcesz! pan byś się ożenił ze mną.

Pampowski chwycił jej rękę i całując ją z z zapalem, zawołał:

— Uczyni mnie pani szczęśliwym!

— Ale to—nie może być! porywczo odparła wdowa. Pan, pan jesteś najzaczniejszym, najpocziwszym z ludzi, ja pana szanuję,—lecz, zlituj się—to nie może być! Ja! dla mnie, byłoby to bardzo szczęśliwem, ale—to nie może być! Zlituj się!

— Dla czego? zapytał komornik, wszakże pani jesteś wolną!

— Tak, najzupełniej wolną, odpowiedziała kobieta przychodząc do siebie i starając się uspokoić—posłuchaj mnie pan, pomiarkuj się. Pan mało znasz tę nieszczęśliwą Henrykę za którą już krew przelewałś. Ja... ja jestem

młoda, płocha... mam złe przyzwyczajenia i nałogi, pan byś był najnieszczęśliwszy, a ja niechcę go czynić nieszczęśliwym. Innego bym pewnie nie pożałowała, ale pana—nie! nie—rozmyśl się—to zanadto...

Komornik stał przy swem nalegając, potrząsała głową.

— Młodość miałam bardzo burzliwą, byłam sierotą, przyzwyczaiłam się dogadzać fantazyom moim. Pan byś się z tą waryatką zamęczył. Przy najlepszej ohęci nie potrafiłabym być dobrą żoną.

Ot, dla takiego barona, odezwała się wskazując na drzwi, ten, gdyby się ohoiał żenić ze mną—to co innego. Wcalebym się z nim nie ceremoniowała, wie kogo bierze i na jakie się naraża następstwa, a pań! pan jesteś człowiek spokojny, racny, i miałbyś za chwilowe uniesienie dla mnie pokutować całe życie!.. A ja też nie byłabym szczęśliwą, bo ja w spokoju wyżyć nie mogę, potrzebuję awantur, hałasu... jestem straszną, samowolną, gniewliwą... Zlituj się komorniku!

Szczere te wyznania, których połowa przebrzmiała niedosłyszana przez Pampowskiego, wywarły na nim takie wrażenie, iż upadł przed nią na kolana.

— Pani! zawołał składając ręce—nie odbieraj mi ostatniej nadziei, całe moje szczęście w tobie! Ja się nie lękam niczego, ja gotów jestem na wszystko!

W pierwszej chwili zdawało się, że piękna Henryka chciała parsknąć ze śmiechu na widok klęczącego, lecz powstrzymała się i minę przybrała smutną. Podała mu troskliwie obie rączki, aby dopomódz do wstania.

— Podnieś się pan, proszę! Siadaj, mówmy chłodno, rozumnie... Mnie się serce kraje patrząc na niego.

— Miej że pani litość nademną... przerwał Pampowski nie dając się odepchnąć—nie odrzucaj mojej ofiary!

Brombergowa niecierpliwie potarła ręce, chwyciła się za główkę, zadumała długo.

— Ale nie! nie!—odezwała się żywo—to by była zbrodnia! Pan mnie nie znasz ani mojej przeszłości. Dziś jeszcze nie mam odwagi jej opowiedzieć panu... ale wypowiadam mu się...

— Ja o przeszłości wiedzieć nie chcę—wykrzyknął zapalony komornik... zatykając uszy.

Popatrzyła nań wdowa i ruszyła ramionami.

— Kochany komorniku, stawiasz mnie w najprzykrzejszem w świecie położeniu—rzekła—raz w życiu chciałam być sumienną... a ty mi nie dajesz...

— Ja proszę miłosierdzia, zawołał Pampowski, którego widok długo niewidzianej piękności unosił. Pani także nie znasz i nie wiesz przeszłości mojej... Pracowałem w pocie czoła ciężko, okrutnie, aby zarobić na kropelkę szczęścia a szczęście to zakładałem i zakładałam w pożyciu z kobietą ukochaną. Ja panią uwielbiam, pani mnie oczarowałaś, daj mi tę odrobinę szczęśliwości jaka mi się należy... Błagam.

Ruszyła ramionami Brombergowa i zawołała kładnąc rękę na jego ramieniu.

— Ale jabym ci, przy najlepszej chęci nie dała tego szczęścia, do kilku tygodni wściekłyś się z taką samowolną waryatką jak ja...

— Ohciałbym kilka tygodni przynajmniej!—przerwał uparty komornik.

Oczy wdowy z litością na nim spoczęły, westchnęła ciężko.

— Komorniku, rzekła, chcesz wpaść w biedę, na to niema ratunku, jak widzę, dobrze, zgoda. Nie będzie już moja wina, co nastąpi—ale warunek jeden."

— Wszystkie jakie pani zechcesz.

— Jeden! pół roku musisz czekać cierpliwie, nie nikomu nie mówiąc. Potem, —

Podawała mu rękę.

Pampowski miał w kieszeni od fraka przygotowany pierścień brylantowy z przepysznym soliterem, dobył go prędko i wcisnął na palec wdowie. W tej uroczystej chwili sprawdziło się co ona sama mówiła o sobie, zapomniała o zaręczynach, o komorniku, o kłopotach swym, o przykrości i zobaczywszy pierścień, poskoczyła z kozetki z nim do okna, wykręcając na wszystkie strony, śmiejąc mu się — radując tak, że komornika pocałowała w czoło...

Pampowski omało nie oszalał ze szczęścia...

— Ale co za soliter! wołała... śliczność! a ja tak lubię brylanty. Nie wiesz jak ja brylanty pasyami kocham. Raz życiu miałam całe kolie...

Nagle przerwała i siadła spokojnie, zawsze jeszcze z oczyma na pierścień zwróconemi. Pomyślałszy trochę, z mnogich pierścionków, które miała na paluszkach, zdjęła mały i niebardzo okazały i chciała go na palec włożyć Pampowskiemu. Niestety! żaden z jego grubych, niezgrabnych, nie mógł się nadać do niego. Wdowa ze śmiechem popatrzywszy na ręce swego narzeczonego, dobyła największy z pierścieni i — ten jakoś do pół palca doszedł, zatrzymawszy się w drodze.

Zmieniły się po zaręczynach stosunki, Henryka odezwiała się rozkazująco.

— Pół roku, tak, musisz czekać spokojnie i nie mieszać się do moich interesów i nie być zazdrosnym, bo ja trochę swobody chcę użyć. Potem już zakopiemy się gdzie zechcesz.

Pampowski spojrzał jakby o miłosierdzie prosił.

— Bądź spokojny, wielkiego głupstwa ja nie zrobię...

Oczy jej znowu wróciły do solitera. Była ciekawa dowiedzieć się ile ważył karatów i czy był starym, czy może jednym z tych dyamentów *du Cap*, które poprzedniejszą wartość mają. Pampowski wyjaśnił jego pochodzenie, daleko starożytniejsze niż metryka nowych dyamentów.

Siedział długo napawając się swem szczęściem komornik, aż go z raju wygnano.

Mąż obowiązku, a w dodatku szczęściem swem do uszczęśliwiania pobudzony, wprost się udał Pampowski na Wiejską ulicę. W małej kamieniczce na dole, trzy pokoiki z kuchenką zajmowała Manusia. Tu jeszcze wszystko było w stanie embryonalnym, nie gotowego. Mebli brakło, firanki się obszywały, w kuchni panował nieład, sama pani w białym czepcu i fartuchu krzątała się około obiadu, jedyną służbę wyprawivszy za czemś na miasto. Karolka też bosa w pantofelkach, z rękami zakasanemi prała kołnierzyki. Gdy komornik zadzwonił i Manusia, podobna teraz bardziej jeszcze do kucharki, przyszła mu otworzyć, krzyknęła z desperacji iż ją zastał w takim dezabilu.

Karolka skryła się natychmiast, bo i nieuczesana była, i w szlafroczku zwykle do prania przeznaczonym, który sam tej operacyi mocono się domagał.

— Al ja nieszczęśliwa! krzyknęła Manusia odskakując ode drzwi i zakrywając oczy. Komorniku! na miłość Bożą, nie patrz na mnie! Siadaj, biegnę, narzucę co na siebie i powracam... Karolka! patrzaj że bo mleko zbieży...

W dobry kwadrans dopiero zjawiła się Pędrakowska o cokolwiek przyczesana, okryta chustką ciepłą, zawstydzona, ale bardzo gościowi rada...

Tysiące rzeczy miała do opowiadania, o sobie, o Karolce, o drożyznie warszawskiej, o wodzie, o targu i cenach,

o przyjętej kucharce, którą nazywała fladką.—Potrzebowała rady co do umieszczenia jak najprędszego córki, aby czasu nie traciła...

Pampowski tak był jeszcze swoim szczęściem przejęty i dopełnionemi zaręczynami, że na wszystko co mu mówiła, patrząc w oczy pilno Maniusia, potrząsał głową, nie a nie nie rozumiejąc. Pewien instynkt dał wreszcie poznać pani Pędrakowskiej, że komornik gdzieindziej był myślami.

— Ja mojego dobrodzieja nudzę temi sprawami bab-
skimi, rzekła w końcu, a pan bo pewnie jeszcze po chorobie do siebie nie przyszedł. Ale cóż tu z biedną głową, zrobić, która pęka...

Spojrzała na opiekuna.

— Troszkę zmizerniał komornik, ale cera dobra—a te-
raz jak zaczniesz chodzić i używać świeżego powietrza, kolo-
ry i siły powrócą, tylko że tu to powietrze w Warszawie,
prawdziwie powiadam, ja nie wiem co jemu jest, taki czasem
fetór... mnie aż dusi. Karolka to kicha a kicha, za co ja
ją strofuję, bo od tego nos czerwienieje, i to dla dziewczyny
nieładnie, ale powiada że wytrzymać nie może. U nas w ku-
chni nawet... zapowietrzenie formalne...

Wysłuchawszy kondolencji, pocieszywszy radami przy-
jacielskimi i obietnicą opieki, wyszedł Pampowski, Karolki
nawet nie zobaczywszy, bo od krochmalu i sinki odstąpić
nie mogła.

Grzeczność wymagała odwiedzenia Hortyńskiego, ko-
mornik nikomu uchybić nie chciał.

Był prawie pewnym, że nie zastanie go, a na ten raz
wolałby był i panny Albiny nie znaleźć w domu, ale ta rzad-
ko bardzo wychodziła; stało się inaczej niż sądził, bo oboje,
brat i siostra, byli w domu.

Szeroko otwartemi rękami i głosem—A!—witajże—

przyjął go Hortyński. Panna Albina wyszła z uśmiechem naprzeciw bohatera.

Trochę szyderstwa było na jej ustach.

— Witamy pana, rzekła, i ciessym się, że go widzimy zdrowym... ale zasługujesz pan na burę od przyjaciół, żeś się mógł narażać na takie niebezpieczeństwo...

Dodała cicho—Niewiedzieć dla kogo!

Zarumienił się Pampowski.

— Jakto pani dobrodziejko, odparł, ja wiedziałem dla kogom się narażał, a nawet nie znając osoby, nie dopuścił bym lekkomyślnego urągania z bezbronnej kobiety.

— Widzisz—rzekł Hortyński wskazując na niego, są jeszcze ludzie co szanują kobiety i bronią ich.

Skłonił się—panna Albina przybrała twarz poważną, i—zdaje się że ostatnie słowa kemornika wzbudziły w niej dla niego pewną sympatyę.

— Nie pozostaje ci, dodał Hortyński żartobliwie, tylko się teraz o rękę oświadczyć i iść do ołtarza, kobieta ci odmówić nie może...

— To rzecz inna, odparł skromnie Pampowski i oczy spuścił. Padły one na pierścionek w połowie grubego palca utkwiony, zarumienił się jak młode chłopię.

Po krótkich odwiedzinach pojechał spocząć do domu—potrzebował wniknąć w siebie i napawać się nadzieją szczęścia, na które jeszcze milcząc, pół roku miał oczekiwać.

Dawnych swych obyczajów młodzieńczych postanowił teraz zaniechać, stołować się w domu, konia wierzchowego pożegnać, wyrzec się wesołych wieczery i wieść życie stateczne człowieka, który już do siebie nie należy.

Pół roku nie było też zanadto aby się przysposobić do nowego życia. Miał zamiar jak najotwarciej budżet przedstawić przyszłej małżonce, naradzić się z nią o wyborze mie-

szkania... o sposobie urządzenia domu. Chciał nawet wyznać jej że—miał na opiece ową Maniusię, pierwszą platoniczną miłość swoją, która już zupełnie była ostygła. Sądził, iż może później Karolka da się umieścić przy jego przyszłej żonie, dla nabrania dobrych manier, wprawy w język francuzki, i t. p. Był bowiem tak zaślepiony, iż wdowę uważał za osobę najdystygowańszą w świecie.

Jechał do domu już, gdy go Mahoński wielkiem wołaniem zatrzymał...

— Zmiluj się! a toż potrzeba uroczyście obchodzić pierwsze twe na świat wychylenie się. Komu się z rąk Lucysia cało udało wyrwać—ten solennie powinien powrót do życia powitać...

Zabieram cię z sobą, jemy obiadek z bardzo dystygowanymi dwoma panami, których ja ugaszczam. Jeden jest syn bankiera milionowego, drugi brat antreprenera kolei żelaznych z Petersburga. Bardzo mi będziesz na rękę.

Chciał się opierać komornik, lecz był w ogóle miękki, a Mahońskiemu nie umiał nic odmówić. Obiad był zamówiony w osobnym pokoju, ze wszystkimi szykanami ludzi co żyć lubią i umieją.

Syn bankiera młody, ładny, wyglądał na królewicza, a brat antreprenera, choć natura niezbyt dlań była hojną, okrutną fantazją nadrabiał.

Mahoński, który już dojadał swój spadkowy majątek, miał na celu przez stosunki z tymi panami wyrobić sobie gdzieś jedną z tych synekur kolejowych nadzorczych, radnych, o których słyszał, że przynoszą tysiącami rubli, nie zmuszając do wielkiej pracy. Czuł się zdolnym do takiego urzędu, który wymaga tylko poddania sumienia i woli władzy najwyższej jakiegos zarządu.

Rozmowa jednak nie tykała żadnych interesów i ula-

tywała w sferach tego zycia kawalerskiego, które pan Józef najlepiej znał i rozumiał..

Obiadek doskonały, wyborne i dobrze ustopniowane wina, podziały na humor, tak że i Pampowski wesół był bardzo... Anegdoty sypały się jak z rękawa.

Przypadkiem jakimś wspomniano barona Mahlhagena, który bratu antreprenera był dobrze znajomym.

— Co on tu robi? pewnie już pozawiazywał stosunki z kobietkami, odezwał się gruby jegomość, on bez tego żyć nie może.

Znacząco Mahoński spojrzał na komornika, który trochę zbladł.

— Słyszałem, odparł syn bankiera, że szalenie zakochany w pewnej...

— W pewnej osobie—przerwał nagle Mahoński, za którą oto ten pan, wskazał na Pampowskiego, pojedynekował się i był ciężko rannym.

Syn bankiera zaciął usta, spojrzano na Pampowskiego, ten nadrabiał fantazyą.

— Nie dziwowałbym się gdyby był zakochany, rzekł z determinacją, bo i mój przyjaciel pan Józef jest wielbicielem tej pani—i ja się nim być wyznaję.

— Baron bo, dodał antreprenier—taki szalony, że raz w Petersburgu, gdy się w ładnej dziewczynie z cyrku zakochał—o mało się z nią nie ożenił!

— Oh! oh, podchwycił bankier.

— Słowe daję, familia musi nad nim czuwać, bo gotów dla dogodzenia fantazyi największe zrobić głupstwo...

Zwróciła się rozmowa w inną stronę, ale komornik zniższany, milczący, do końca obiadu już słowa nie rzekł. Goście mający iść na teatr pożegnali amfitryona, wybierał się i Pampowski, wstrzymał go Mahoński.

Był po obiedzie do otwartości skłonnym.

— Słuchaj rzekł do komornika—prawda to żeś ty się Henryce oświadczył!

— Któż ci o tem mówił?

— Kto? Ale ona dla mnie, starego przyjaciela, nie ma tajemnic. Dała ci do namysłu pół roku...

Milezał Pampowski.

— Wiesz ty co, ja ci się przyznam, sam chciałem cię z tą biedną Henryką ożenić, żeby raz się ustatkowała, miała opiekę i opiekuna, tak jest! na to cię do niej wprowadziłem, ale dziś kiedy ten waryat Mahlhagen zajął się nią, a ona go zdala trzyma doprowadzając do desperacyi, po co ci tam się napierać?... Niech się baron żeni.

Długo gryząc deserowe migdały nie mógł odpowiedzieć komornik...

— To nie dla ciebie żona—dodał Mahoński—ty jesteś *simplex servus Dei*, a ona...

Ale nie wyzywaj ze mnie...

Ona... to djabeł w spódnicy...

Pampowski gryzł migdały.

— A jakby mi się podobał djabeł—to co? Któż może wiedzieć co komu potrzebne i miłe? Właśnie dwa charaktery różne najlepiej pasują, a ja jestem zakochany, i ona mi — — ona mi sprzyja!

Parsknął Mahoński.

— Ona się lituje nad tobą!

— No, gdyby i tak! Miłość może przyjść później. Radź nie radź—ja com postanowił to zrobić.

Dziwi mnie, dodał—że ona ci to opowiedziała niepotrzebnie co między nami zaszło, a kiedy o tem wiesz, proszę zatrzymaj to przy sobie—i obliguję, nie mów nigdy o tem ze mną.

— Nie obwiniaj wdowy, że mi się przyznała, rzekł Mahoński wesoło. Naprzód jestem jej przyjacielem młodości, powtóre—zobaczyłem u niej solitera którym się cieszyła, musiała mi się wytłumaczyć z kąd go wzięła..

Ze mną to nic, ale Mahlhagen widział pierścień i wścieka się, mając różne domysły.

— Niech go tam kaci porwą, z jego miłością, i domysłami—zakończył komornik.

— Przestrzegam cię, zawołał goniąc wychodzącego Mahoński, że strzela lepiej od Lucysia, a jako wojskowy żyłkę ma do pojedynków.

Pampowski ruszył ramionami.

Działo się to jesienią, w miesiącu kwietniu następującego roku przypadał termin półroczny, który o losie komornika stanowił.

Zima upływała niezmieniając stosunków osób któreśmy poznali. Pampowski bywał u swojej narzeczonej i, pomimo zasklepienia swojego, tak różne spotykał tam usposobienia, ludzi, zabawy, humory, iż częstokroć powracał zgryziony i przywiedziony niemal do rozpacz. Gdy przyszedł z miną posępną, chmurny, milczący, wdowa go pośladem po twarzy głaskała i kazała mu być wesołym, wzywając go do tego w sposób dosyć rubaszny. Czynione jej uwagi przyjmowała cierpliwie, lecz one nie wpływały bynajmniej na zmianę życia. Z kassy narzeczonego czerpała teraz bez ceremonii, w sposób zagrażający jej, a marnowała pieniądze straszliwie.

Fantazyje miała pańskie i nie długo trwające. Gdy zażądała czego, musiała to mieć, i komornik, jeśli się zaważał, spostrzegał ze smutkiem, że go ktoś już wyprzedził.

Do domu, który wkrótce zmieniała na apartament daleko wykwińtniejszy przy ulicy Miodowej, uczęszczwały teraz tłumy co raz nowych gości, tak że Pampowski rzadko

znajdował chwilę taką, aby z nią mógł mówić sam [na-sam...

Henryka zdawała się patrzeć z ciekawością na swego narzeczonego, badając jakie na nim wrażenie robi jej—swawola. Pampowski bolał ale nie cofał się.

Obok niego równie rozpaczliwie zakochanym był baron Mahlhaben, z którym kłótnie się trafiały, kilkodniowe gniewy,—rozstania, a potem baron z nosem na kwintę powracał.

On i komornik, patrzali na siebie koso, niepryjaźnie, lecz rozkaz zapewne wydany obu przez gospodynię, wstrzymywał ich od kolizyi, kłaniali się sobie zdaleka nigdy nie mówiąc do siebie. Gdy sam na sam znaleźli się w salonie, Pampowski patrzył w jedno okno, a baron w drugie.

Brat antreprenera, który na obiedzie owym mówił o baronie i ciekawy był osoby co zapanowała nad nim, przez usłużnego Mahońskiego wprowadzony został do wdowy.

Gruby, niezgrabny, czerwony, rubaszny, w salonie snaleść się nieumiejący pan Afanazy Piotrowicz, pomimo to wszystko stanął od pierwszego wieczora w szrankach z baronem, a—osobliwa rzecz, wdowa mu okazywała się dosyć życzliwą.

Prawda że Afanazy Piotrowicz, „natura szeroka“, tak się on sam nazywał, był powolności dla kaprysów kobiecych nieograniczonej. Panią Henrykę i on nazywał naprzemiany aniołem lub czarownicą.

Głowę dla niej stracił.

Nie będąc o niego zazdrosny komornik się z nim zaznajomił, poprzyjaźnił i oba czasem unosili się *unisono* nad czarodziejką.

Afanazy Piotrowicz gdy był bardzo ożywiony, oświadczał że nie ma czego by dla takiego anioła nie poświęcić.

— Niechaj by ona sobie była jaką chciała—wołał—takiej drugiej nie ma na świecie!..

Być może iż wdowa dla podbudzenia lub oddalenia barona trochę przyciągała Afanazego Piotrowicza. Ten, Mahlhagenowi życie truł, bo nie można było z nim iść w zawody gdy szło o dogodzenie fantazyi. „Szeroka natura“ sprowadzała bukiety z Nizy, płaciła tysiącami fraszki i gotowa była tak samo dać krew jak dawała pieniądze...

Kobiety ujmuje taka namiętność wielka i gorąca, choć często trwa krótko... a nigdy stałą nie jest.

Afanazy Piotrowicz był zresztą rzeczywiście dobrym człowiekiem ale nie dla siebie. Najnieopatrniejszy w świecie, zdawał się wyzywać na swą głowę katastrofy. Szerokie jego ramiona mogły ją dźwignąć, i—domyślać się godziło, że nieszczęście tak by wesoło nosiły jak dobrą dolę. Otworzyste serce śmiało się do życia, do wszystkiego co je złociło, a najmocniej do kobiet.

Mahlhagen obchodził się z milionerem prawie wzgardliwie, tamten z nim lekceważąco ale bez gniewu, wesoło, bo Afanazy Piotrowicz do rozgniewania był trudnym, choć, gdy w nim zawrzało, straszny był jak bawół wściekły.

Dotąd jednak powodu nie miał zbyt się poruszać, bo Henryka dawała mu nad współzawodnikiem pierwszeństwo widoczne.

Komornik patrzył zdaleka, licząc dnie i godziny.

Gdy wiedziała że o którego z nich był zazdrośnym, z ozem choć się nie wydawał, poznać było po nim łatwo, piękna Brombergowa śmiała się, ruszała ramionami i o obu wyrażała się lekceważąco. Komornik się natychmiast uspakajał.

Czas płynął na Miodowej bardzo wesoło, Pampowskiemu dosyć smutnie i kłopotliwie, bo Manusia nie śmiejąc go

odwiedzać, nieustannie rady potrzebowała, nie śmiejąc bez niej niczem ważniejszym rozporządzać.

Nudziła go więc drobnostkami, a gdy zawezwany przychodził posłusznie, sądząc iż oś ważnego zaszło, godzinami opowiadała o nadużyciach kucharki, która dwa razy liczyła jej kupioną raz tylko pietruszkę.

Wszystko co Karolce na pensyi mówiono, czego ją uczono i w jaki sposób, musiał wiedzieć komornik, a miała dar nieoszacowana stara Maniusia, opowiadania ze szczegółami, ze środka zwracając się do początku, a od niego przeskakując do końca, by wrócić znowu *ad medias res*.

W czasie karnawału pani Brombergowa, jakby on był ostatnim, którego miała swobodnie używać, szczególniej cugle puściła fantazyom, na jakich jej i tak nie zbywało. Baron Mahlhagen, Afanazy Piotrowicz i komornik, a nawet mniej na usługi jej gorliwy już Małosiński, nieustannie byli w kontrybucyi. Pampowski ze swojego kąta obserwując ją, postrzegał z podziwieniem, że im więcej się trzpiotała i bawiła tem była smutniejsza. Wymyślała co raz nowe rozrywki, a wracała z nich skrzywiona, ziewająca, kwaśna, nieszczęśliwa.

Pampowski pocieszał się tem, że kwiecień zamknie ten cykl szaleństw i nowe życie otworzy. Na wzór innych dystrygowanych nowożeńców miał na myśli od ślubu zaraz porwać swe bóstwo i puścić się z niem we oztery czy w podróż, bodajby nawet ku Włochom.

W prostocie ducha wierzył, iż ten sos włoski do szczęścia małżeńskiego był potrzebnym i musiał dodawać mu smaku. Raz coś o tem przebaknął swej pani, ta popatrzała nań zdziwiona, lekko ramionami wzruszyła, nie odpowiedziała nic i poszła.

W ogóle o kwietniowym terminie, w którym się ko-

mornikowi wypłacić miała, nie lubiła mówić, a gdy była słuchać zmuszoną, wydawała się smutną i zniecierpliwioną. W braku innych przyjaciół dawnych, których grono się zmniejszyło od pojedynku, zyskał Pampowski [druha w Afanazym Piotrowiczu, który się z nim dobrze godził.

Odwiedzał często komornika, zasiadywał u niego na gawędę, zapraszał na obiady i bawił go, wygadując na wspólnego nieprzyjaciela barona Mahlhabena. Gdy raz o nim zaczął prawić i żartować z niego, był niewyocerpany,—równie jak śpiewając pochwały pięknej Henryki, dla której okazywał cześć największą.

Wesołego humoru, usposobienia próżniaczego, Afanazy Piotrowicz zrana opędziwszy się interesom swoim, resztę dnia poświęcał rozrywkom, na które grosza nie żałował. A że do nich potrzebował towarzysza, dobierał najczęściej Pampowskiego. Pokochał go.

Komornik, choć także go lubił, nie zwierzał mu się z swoich widoków, ani umowy z wdową.

Czasu karnawału baron i Afanazy rywalizowali w przysługach dla Henryki.

Ostatni wydał dla niej u siebie wieczór z wieczernią, wspaniałą, na który nawet potrafił ściągnąć kilka kobiet, niezbyt trwożliwych o towarzystwo, gdy mogły się zabawić i potańcować. Królową naturalnie była pani Brombergowa, strojna, piękna i okryta klejnotami, a Pampowski spostrzegł ze zdziwieniem na jej szyi dyamentowy naszyjnik bardzo piękny i kosztowny, o którego egzystencji nie wiedział.

Lecz że mu raz o podobnym wspominała Henryka, dla uspokojenia siebie zrobił przypuszczenie, iż dawniej stracony odzyskać musiała. Naszyjnik ten był tak piękny, że i gospodarza Afanazego Piotrowicza uderzył, bo wszystkim go pokazywał uśmiechając się i pytał jak go znajdują?

Henryka wystąpiwszy w tym stroju, gdy zobaczyła że przyszedł jej mąż mocno się w nią wpatrywał, podeszła do niego z uśmiechem i ręką podnosząc brylanty, z których się iskry przy świetle sypały, odezwała się.

— A co? prawda że piękny! To ten sam o którym kiedyś wspominałam!

Zaśmiała się dziwnie i poszła.

W czasie wieczora i kotyliona Afanazy prezenta dla dam rozdawał tak kosztowne, że się wydziwić nie mogły jego wspaniałości. Brombergowej dostał się bukietik ale złoty cały, emaliowany i wysadzany kamieniami drogiemi...

Komornik upokorzony był tą rozrzutnością nababa, który się trochę nią chwalić lubił i popisywać.

Baron Mahlhausen, chociaż osobiście proszony na ten wieczór, nie przybył wcale—Pampowski dotrwał do końca, mając zamiar odprowadzić swą panią do domu, lecz—dowiedział się—z podziwieniem, że odjechała nie żegnając się z nim.

Lękając się czy nie była chorą, pośpieszył dowiedzieć się do jej mieszkania, tam zaręczył lokaj, że nie wróciła jeszcze. Niespokojny Pampowski musiał wrócić do domu, i nazajutrz rano Henryka mu się wytłómaczyła, że lokajowi rozkaz dała mówić iż jej w domu nie było.

Pampowski wszystko za dobrą przyjmował monetę. Zbliżający się kwiecień dodawał mu sił do zniesienia prób na jakie był wystawiony.

Gdy go zbyt widziała smutnym, piękna pani gładziła go pod brodę, dawała rękę do pocałowania i pocieszała kilku słowami, a nadewszystko godzinką darowaną we cztery oczy... Pampowski naówczas zapominał o wszystkich udręczeniach jakich doświadczał, ożywiał się,

rozweselał, przyklekał i puszczał się w marzenia słodkie o przyszłości.

W kalendarzu swoim komornik każdy dzień upływający znał z bijącym sercem.

Tak dojechał do marca. Wielkanoc przypadała w końcu tego miesiąca, a na przewody termin ostateczny.

Nie mogła o tym zapomnieć i piękna Henryka, gdyż Pampowski o tym dniu mówił jej ciągle. W miarę jak on się zbliżał a komornik ożywał, wdowa smutniała i robiła się coraz kapryśniejszą.

Walka dwóch jej adoratorów, barona i Afanazego Piotrowicza, trwała coraz zaciętsza. Nie ustępował baron, chociaż widocznie tracił w oczach pięknej pani, szczególnież prezentami, które przyjmowała chętnie, walczyć nie mogąc z przeciwnikiem. Nie było dnia, żeby gruby czelczyzna czegoś nie przyniósł, a rzeczy pospolitych i tanich nie lubił ofiarowywać. Niespodzianki jego były istotnie książęce.

Najmniejsza wzmianka, żądanie na wiatr rzucone, spełnić się natychmiast musiało.

Komornik zrobił mu raz przyjacielską uwagę, że się niepotrzebnie rujnował.

— Gdzie? co! zawołał śmiejąc się gruby. El ty „dobry mały“ ty tego nie wiesz, co „u naszego brata“ przez ręce przechodzi, gdy się milionowe interesa obraca! Kilka, kilkanaście tysięcy rubli, to tam sobie człek pozwolić może. Koleje i porty, które budujemy, zapłaca. A ja dla takiej jak ta kobiety! na Boga, toćbym krwi nie pożałował!

Pampowskiemu żal było, „biednego moskala“, jak go nazywał, że tak nadaremnie się ekspensuje, nie wiedząc, że mu w kwietniu klamka zapadnie!!

Nadchodziła Wielkanoc; drugiego dnia świąt dostał komornik uszczęśliwiające go zaproszenie na herbatę.

— Przyjdź do mnie, będziemy sami!

Pospieszył uperfumowany.

W drodze spotkał się z Afanazym Piotrowiczem i nie przyznał się, dokąd tak spieszy, litując się nad biedakiem, który z wieczorem nie wiedział co zrobić.

Tryumfował Pampowski.

Brombergowa ubrana skromnie, po domowemu, ale z tym smakiem, który ją odznaczał zawsze, przyjęła go w bu-duarze. W salonie światła nawet nie było. Zasiadli tu we dwoje, on rozpromieniony, ona smutna i pomieszana, ale pełna litości dla człowieka, który ją tak ślepo adorował.

Cudnie była piękną tego wieczoru i nadzwyczaj dla Pampowskiego uprzejmą. Pięściła go, głaskała, dawała mu ręce, przybliżała się, nie uchylała gdy poufalej się nieco obchodził, zdawała owszem ośmielać go.

Komornik jednak z zasady, nie chciał sobie pozwalać nie nad to, co zaręczonym dozwala prawo i przyzwoitość. Za nicby nie był przekroczył tej granicy, i nie nadwyreżył pięknych planów przyszłości. Wystawiony na pokuszenie nadzwyczajne, gdyż wdowa obchodziła się z nim tego dnia tak, jakby go na próbę cnoty wystawić chciała, wytrwał mężnie w uwielbieniu platoniczmem dla anioła, który się z politowaniem czasem z niego uśmiechał.

Herbatę podano im dwojgu w tym zakątku i nawet stara towarzyszka, drzwi przymknąwszy, słodkich tych godzin nie śmiała przerywać. Wdowa siadła przy nim na małej kanapce, i nalewając mu herbatę, podając ciasteczka, obchodziła się z nim jak z chorem dzieckiem matka troskliwa.

Mówiono najprzód o różnych rzeczach, aż nareszcie Pampowski rozmarzony wpadł na temat blizkiego szczęścia swojego i uniósłszy się, trzymając za rękę wdowę, począł ją malować barwami jaskrawemi.

Oczki mu błyskały, usta i zmarszczki około nich uśmiechały się.

— A! królowo moja! mówił patrząc w jej oblicze miłościwe ale smutne, myślę o dniu mojego szczęścia, na które czekałem tak długo, myślę i drzę, nie wiedząc jak mam Opatrzności dziękować za to, że mi dała więcej niż mogłem się spodziewać. Czyż ja zasłużyłem na to, abym taką boginię piękności nazwał moją! Na klęczkach winienem za to dzięki składać tobie i Bogu.

I całował ją z zapalem po rękach, chociaż ozoło mu się pochylało do ust, wyzywając pocałunek, którego bogobojny komornik nie ośmieliłby się być ani wymagać, ani ukraść przed ślubem. Drżał, śmiał się i padał na twarz. Bóstwo siedziało naprzeciw z obliczem pochmurnem.

— A! mój panie Janie, odezwała się wdowa po miłozniu długiem, co ciebie cieszy, to mnie przeraża. Napatrzyłeś się na mnie i życie moje, znasz mnie, bom się nie tajiła z niczem przed tobą, płocha jestem, wietrznica niepoprawna. Zastanów się, proszę, dobrze, co ty ze mną robić będziesz. Mimowoli życie oi [zatruję, choćbym najlepszą być chciała: Napadają mnie takie chwile szału, nudy, w których dla mnie nic świętego nie ma.

Jużem cię trochę podrujnowała, a cóżby to było dalej! Gdy czego zapragnę, nie umiem się pohamować, nie znam pamięci na jutro. Szczerze mówię że mi cię żal, boś ty dobre, pocztliwe ozłeczysko, a gubisz się dla mnie dobrowolnie.

Ja dla ciebie stworzoną nie jestem, bo ty wierzysz w coś, ty masz swe zasady, a nademną nic nie panuje oprócz burzliwej krwi mojej. Ja jestem nieszczęśliwa i nią być muszę, ale za cóż ty masz ze mną iść w przepaść i być ofiarą?

— Dla tego że Henryczkę moją kocham, zawołał Pam-

powski, że gotów jestem dla niej poświęcić wszystko. Niech się dzieje co chce!

Wdowa rzuciła się niecierpliwie.

— Więc trwasz w swem postanowieniu?

— Jak najmocniej! Jak to? jeszcze dziś miałabyś wątpliwość!

— Chciałam cię opamiętać—pierwszy raz może w życiu odezwało się we mnie to, co nazywają sumieniem.

Nie, nie, dodała wstając z kanapki i zaczynając się przechodzić po buduarze, nie mogę przenieść na siebie, abym ciebie, coś mi ślepo zaufała, oszukiwała. Musisz wysłuchać mojej spowiedzi, musisz wiedzieć wszystko.

Pampowski się uląkł.

— Na miłość Boga, krzyknął, ja o niczem wiedzieć nie chcę i nie potrzebuję.

— Musisz! odparła Henryka, z obawy aby nie uszedł zamykając drzwi buduaru ze środka, i klucz chowając do kieszeni. Odetchnęła nieco, wzięła do ust wystygłej herbaty, aby je odwilżyć i stanawszy z rękami na piersiach założonemi naprzeciw niego, zaczęła mówić głosem peruszonem i tragicznym. Głos ten jej zawsze był ostry i przykry, teraz stał się jakimś przejmującym bólem i strasznym. Brzmiał jak jęki i płacze.

— Masz mnie za wdowę! poczęła — to fałsz, ja nigdy nie byłam zamężną. Mahoński ci skomponował familię Sulimskich dla mnie: moja matka, bo o ojcu nie wiem, nazywała się Sulkówna. I ona podobno nigdy męża nie miała.

Komornik zbladły słuchał z załamanemi rękami, lecz i po tem wyznaniu chciał ją jeszcze od dalszych powstrzymać.

Dla niej to wynurzenie się przed nim, to oczernienie siebie zdawało się jakąś potrzebą, mówiła dalej, nie dając się pohamować.

— Jestem dzieckiem ulicy, tutejszem, warszawskiem. Boso niegdyś biegałam po tym bruku; matka, jak zapamiętam, praczka była. Ale jeszcze na jej twarzy wynędzniałej i schorowanej ślady zostawiła ta nieszczęśliwa piękność, którą ja wzięłam po niej.

Nie lubiła mnie matka i czując pewnie że lotrzycoą zostanę, biła i katowała niemiłosiernie. Piła też, po pijanemu płakała i narzekała na losy, a spojrzawszy wówczas na mnie, bez żadnej przyczyny porywała się bić, męczyć, często, aż do krwi i ran.

Czasem mnie kochała chwilę, ścisnęła płacząc i wnet kazała precz iść z oczów.

To były pierwsze wrażenia dzieciństwa mojego.

Raz, gdy nieprzytomna siekła mnie matka, jakaś litościwa pani nadszedłszy na to, odebrała mnie od niej i wzięła do siebie. Oddała mnie bez żalu. Nie wiem nawet, co się z nią później stało, bo ta co mnie wychowała, mówiła iż się gdzieś oddaliła z Warszawy, i słychu o niej nie było.

W domu mojej opiekunki musiałam posługiwać. Uczono mnie trochę, a choć obojęcie się było dosyć surowe, zaw sze znośniejsze niż u matki.

A! natura się już odzywała we mnie! Żał mi było siedząc tu nad pończochą, którą cerować było potrzeba, zamkniętej w kuchence, żał mi było matki mej, ulicy i swobodnego latania po rynsztokach. Jużbym była wolała być bitą i głodną, byle żyć tem cygańskim życiem.

Prędko i tu zaczęto mnie karcic, bo upatrywano złe skłonności we mnie. Wybiegałam w podwórkó gzić się z chłopcami i bić z dziewczętami.

Zasadzona za karę do alkierzyka uciekłam ztąd. Wzięła mnie przekupka, która niegdyś matkę znała. Tu mi lepiej było. Twarzyczka moja już oczy zwracała. Kuglarz

co sztuki pokazywał, napatrzył mnie dwunastoletnią i kupił od przekupki. Pojechałam z nim i jego żoną chętnie, ale mi zaczęto kości wyłamywać, głód trzeba było często cierpieć, powiedziałam sobie, że przy pierwszej zrzeczności ucieknę. Dokąd? Nie wiedziałam sama, alem już знаła że byłam ładną i że z moją twarzą znajdę łatwą opiekę.

W czternastym roku życia uwolniłam się w istocie, razem z mało co starszym chłopakiem uciekłszy do Warszawy. Z nim razem, było to latem, włóczyliśmy się po ulicach, aż mnie dawna opiekunka przekupka poznała i namówiła do siebie. Towarzysz mój, łajdak wielki, już mnie po pijanemu wybił parę razy, porzuciłam go z ochotą, zabrawszy co miał grosza. Przekupka mi ułatwiła, żem się dostała jako statystka do teatru! Tu byłam w moim żywiole... piękność moja uderzała wszystkich.

Stary urzędnik bogaty zabrał mnie ztąd i wywiózł do Odessy, najprzód zaniedbane wychowanie chcąc nagrodzić choć spóźnioną nauką. Wziął do mnie guwernantkę, w której znalazłam przyjaciółkę i towarzyszkę. Francuzka przechodziła różne koleje, była niegdyś piękną, życie spędziła burzliwie. Nauczyłam się od niej wiele, doposa mnie do reszty.

Ona pierwsza ułatwiała mi oszukiwanie mojego opiekuna, który się przywiązał do mnie. Była pośredniczką w intrygach, które dla niej podwójną przynosiły korzyść, bo ją bawiły i zbogacały.

Życie płynęło bardzo wesoło... aż nadto. Stary oszukiwany, przebaczał ciągle, myśmy się śmiały. Zachorował wreszcie i—umarł, bez testamentu. Rodzina przybyła natychmiast, mnie chciała wygnać z domu, alem sobie potrafiła ująć synowca, który wziął moją stronę i z małym wyposażeniem wyprawił do Warszawy.

Mahońskiego znalazłam jeszcze gdym była statystką w teatrze, dawna to przyjaźń. Bywał u mnie na poddaszu!

Mówiła prędko, z goryczą, urywanemi słowy, oczyma przenikającemi mierząc komornika, który bladł i dręczył się, słowa nie mówiąc.

— Masz tedy moje dzieje, piękne dzieje! dodała śmiejąc się, i ty, pocziwy dobry człecze, miałbyś podać rękę do ołtarza takiej jak ja??

Rozśmiała się szydersko.

Pampowski był na mękach. Otarł pot zimny z czoła, milczał, patrzył na nią. Ta istota, która powinna była wydawać się zwałaną i znękaną życiem z jakim walczyła, cudem jakimś stała przed nim świeża, piękna, młoda, jakby ją los na rękach niosąc wypieścił, jakby nie tknęło ją nic... nawet zatruty powiew powietrza.

Natura temu dziecku ulicy, zbrojącej do niebezpiecznego życia, dała żelazną budowę ciała i ducha. Komornik oczarowany oczyma jej, pomimo wstrętu jaki budziły wyznania, czuł się bezsilnym, nie mógł przypuścić by ją porzucił, by się miał jej wyrzec.

— Niech będzie co chce! zawołał głosem słabym. Niech—niech się spełni przeznaczenie.

Ty zmienisz się Henryko, ty masz szlachetne serce. Nie wyznawałabyś tego przedemną dobrowolnie, gdybyś nie była lepszą niż twe losy.

— Mylisz się, rzekła kobieta—pierwszy raz w życiu ulitowałam się nad tobą, ale w tej litości jest też dużo egoizmu. Nie chcę być przykutą do starego, któryby musiał mnie niewolnicą uczynić. Lituję się ale i boję się ciebie. Musiałabym cię zamęczyć. Poprawić się—al—nie mogę! weszło to w krew, w życie. Jeśli mam być żoną czyjaś, to chyba takiego, z którym się będziemy mogli targać za wło-

sy, nie żałując wzajemnie. Nie może to być, ażebys się ty ożenił ze mną, lepiej kamień przywiąż do szyi, przynajmniej odrazu pójdziesz na dno, gdy ze mną!!

Pampowski siedział nieruchomy.

— Zapóźno, odezwał się—ja już choćby z kamieniem muszę iść gdzie mnie prowadzi ta namiętność. Tak! namiętność to dziś. Dałem się jej rozwinąć, pozwoliłem się jej opanować.

— Byłeś więc ślepy gdym szalała? śmiejąc się dodała Henryka. umyślniem dokazywała z Afanazym, z baronem, nie widziałeś nic?

Ruszył ramionami komornik. Henryka ręce, które trzymała założone na piersiach, spuściła i załamała.

— A ty nieszczęśliwy! zawołała i zakryła sobie oczy. Myśl, masz jeszcze kilka dni, ja nie chcę cię gubić.

To mówiąc z twarzą gniewną i zmarszczoną, otworzyła drzwi buduaru i zawołała starej.

Znużona rzuciła się wprost na nieposłane łóżko, ręce nad głową krzyżując, komornik stał wryty, nie mając sił się ruszyć.

Na zegarze biła dwunasta.

Odwróciła ku niemu oczy.

Przystąpił zwolne, ujął ją za rękę z peszanowaniem, pocałował końce palców.

— Uspokój się moja królowo!—rzekł—to wszystko nie. Losy! ludzie! Przeszłość przeszła, a jutro—lepiej będzie.

O której mogę być jutro?

(Ochłonął już był zupełnie).

Henryka nie odpowiedziała, patrzyła nań oczyma wielkimi, załzawionemi, chwyciła się z łóżka, porwała go za szyję pocałowała w czoło i wytrąciła za drzwi.

Opisywać stanu ducha jego nie myślimy, czytelnik go sobie dośpiewa.

O trzeciej w nocy komornik nie spał jeszcze, gdy do kamienicy dobijać się zaczęto i obudzony chłopak, wpadł mu oznajmić że jakiś pan się koniecznie z nim widzieć potrzebuje.

Wetknął mu bilet wizytowy Afanazego Piotrowicza, na którym stało ołówkiem:

„W bardzo pilnej sprawie.“

Nieusposobiony do przyjmowania gości, Pampowski nie mógł odmówić widzenia się. Wszedł bardzo pośpiesznie, ubrany po podróźnemu, zasapany przyjaciel i wprost do łóżka przystąpiwszy, usiadł przy niem.

— Przebacz, przyjacielu—rzekł—niespodziany mi wypadł interes, muszę natychmiast, natychmiast jechać, do jutra nawet niesposób czekać!

Co robić! Chciałem cię koniecznie pożegnać, pocałować, ty „dobry mały.“—A, ot i prośba do ciebie.

Dobyl pakiet z torebki podróźnej.

Muszę u ciebie zostawić papiery i pieniądze, przyjmij do schowania, dam znać co z niemi robić. Paczka opieczetowana. Odbierzesz list odemnie, ja napiszę komu oddać.

E! szkoda mi was porzucać! A, co robić, co robić! Jak mus, rady nie ma!

Rzucił się go ścisnąć serdecznie.

— My z tobą, druhu miły, kilka godzin przeżyli... Kłaniaj się baronowi Malhagen i pokaż mu odemnie.

Złożył dwie figi.

— Ot, co ja jemu zostawiam!

Prychnął śmiechem Afanazy Piotrowicz.

— Nu! baron! baron... Jego światłość, ja proste błagorodie, a nie da'ęm mu się... Cha! cha!

El—dodał siadając jeszcze—jakby u ciebie był kieliszek czegokolwiek, napilibyśmy się na pożegnanie!

Krzyknął komornik na chłopca, w zapasie był tylko koniak ale co na placu, to nieprzyjaciół, napili się i zakąsili.

W oba policzki pocałował go raz i drugi i rozczulony Afanazy Piotrowicz.

— Słuchaj ty, Janie Klemensowiczu—dodał—gdybyś kiedy w życiu potrzebował czegoś, wszystko po ludziach chodzi—proszę ja ciebie, do nikogo tylko do mnie, ja całą duszą twój! Janie Klemensowiczu! Ty „dobry mały.“

Dziwne to było pożegnanie, ale dzięki tej dystrakcyi a może kieliszce koniaku, zasnął po niem Pampowski i nie obudził się aż koło dziesiątej.

Wszystko co przeżył wczoraj stanęło mu znowu w pamięci. Był najmocniejszego postanowienia nie dać się zrazić u swej pani.

— Ona się ogadywała, kłamała, oczywiście kłamała! Bałamucila. Boi się mnie, żebym dla niej za surowy nie był! Boże miłosierny! Ja! dla niej! Jaby się jej dał deptać z rozkoszą? ale! kobieta tchórz, ogadywała się... umyślnie.

Dnia tego postanowił wcale do niej nie iść, nie pokazywać się, dać czas do ochłonięcia i rozwagi. Namietność sofistycznie wszystko mu znowu malowała w barwach jasnych.

W porze obiadowej, nie chcąc jeść sam w domu, poszedł do restauracyi. Dawno nie widział Mahońskiego, radby go był spotkał teraz i chciał—zręcznie—wybadać o przeszłość wdowy, pewny będąc że mu nakłamała na siebie andronów. Mahońskiego jednak w restauracyi nie zastał, i musiał go szukać w domu.

Pan Józef był, po zbyt niemiłym ucztowaniu, chory.

Znalazł go w aksamitnym szlafroku, z gardłem obwiązanem i kwaśną bardzo miną.

— Bardzo ci dziękuję żeś mnie odwiedził—odezwał się Mahoński.—Widzisz, ohory jestem, pokutuję za grzechy. Ha! dawniej piło się dwa dni i dwie nocy, a wstawako rześwym, dziś już nie ten człowiek. Trochęśmy przebrali tego obmierzłego szampana, a musiał być fałszowany pod koniec. Nie mogę do siebie przyjść. No i zgrałem się wszetecznie. Wystaw sobie, parę tysięcy rubli djabli wzięli...

Dosyć zręcznie kołując z rozmową, Pampowski naprowadził ją na Brombergowę, od nischcienia zapytując o jej przeszłość.

— Bo mi się ogaduje! plecie niewiedzieć co?

— Ma co gadać—rzekł Mahoński—młoda, ale żyła co się zowie i awanturek miała dosyć.

— Mój panie Józefie—przerwał komornik—jakby się te innym, nawet powszechnie szanowanym nie trafiało! Tylko że ona jest szczerą, a tamte!

— No, to poczęści prawda!—odparł Mahoński—ale to kobieta co szuka biedy i awantur.

— Była ona w teatrze?—zapytał Pampowski.

— W teatrze! to ci o tem mówiła?—zaśmiał się p. Józef.—Papie czasem bez potrzeby. W teatrze właściwie nigdy nie była, ale ładna dziewczeczka występowała jako statystka! E! to to dobre były czasy, gdy ja się z nią poznałem! Ojciec mi wówczas nieboszczyk grosza skąpił, ale łaskę miałem u lichwiarzy! Mieszkała na strychu! Ogień była dziewczyna!

Westchnął gładząc łysinę.

— Widzę że ci się spowiadała szczerze.

— Nawet i z tego co nieprawda—dodał komornik, bo już ciż męża miała i jest wdową.

— No, z mężem, widzisz—rzekł pan Józef—to tak samo jak z teatrem. Nie pytano ścisłe o ślub... a żyła z panem Brombergiem lat kilka i była u niego panią w domu. Zawsze to coś znaczy.

Komornik przestał pytać, posmutniał, widział że nie kłamała w istocie, musiał więc to sobie jakoś inaczej ocukrować aby przełknąć.

Po namyśle, wyszedłszy od Mahońskiego, powiedział sobie:

— To mi wszystko jedno. Powinien się był z nią ożenić! Nie ożenił się, jego wina! Co mi tam!

Wytrzymawszy tego dnia, wedle danego słowa, i nie idąc nawet na Miodową ulicę, aby nie mieć pokuszenia wstąpić do niej, komornik trzeciego już dnia nie wytrzymał i o dwunastej popędził.

Drzwi przedpokoju stały otworem, służącego nie było, wszedł więc nieanonsowany do salonu.

Na kanapie siedział podparłszy się o stół, z głową w rękach, baron Mahlhagen. Podniósł oczy na wchodzącego. W salonie meble były porozstawiane w nieporządku, drzwi wszystkie pootwierane a z głębi mieszkania dobywały się jakieś głosy obce, nieznane.

— Co to jest?—zawołał komornik.

Baron podniósł głowę.

— To pan nic nie wiesz?

— A cóż mam wiedzieć?

Malhagen śmiał się gorzko.

— He, he! nie ma naszego gołąbka, niema! fru, fru, uleciał.

Wstał z kanapy i zbliżył się do komornika.

— My oba z panem w żałobie. Pan istotnie nic nie wiesz?

— Nic nie wiem!—krzyknął przestraszony Pampowski—coś mam wiedzieć?—powtórzył.

— Zadrwiła z nas obu—dodał baron—Afanazy Piotrowicz ją zabrał i pojechali.

— To nie może być?—zawołał komornik.

— Ale, nie może—śmiał się Mahlhagen—trzeci dzień temu, uciekli w nocy. Tego się dawno było można spodziewać. Jam nie był ślepy, a nie chciało mi się wierzyć takiemu szelmowstwu, bom ja jej przecie ofiarowałam — (wstyd mi) — ja się z nią chciałam żenić! Była dla mnie z początku bardzo dobrą, potem ten milioner, ta baryta, to chłopisko kupiło ją brylantami nie brylantami... No zobaczymy jaki z tego będzie koniec?

Z drugiego pokoju wyszła dawna towarzyszka Brombergowej, Abakowa, trzymając się w boki, w humorze wcale niezłym. Popatrzała na obu obżałowanych i roześmiała się.

— Dzień dobry, komorniku—odezwiała się drwiąco—tu do was liścik jest. Ale co wam z tego, wolelibyście żeby ta była co go pisała. Adiel nie zobaczycie jej. Wzięli ślub i pojechali.

— Wzięli ślub?—zawołał baron—wzięli?

— A pewnie, ja byłam przecie na nim—mówiła stara—onaby nie zrobiła tego głupstwa, żeby mając dwóch co się żenić chcieli, trzeciego wybrała... bez ślubu...

Człowiek dobry, słowo daje, ona z nim będzie szczęśliwą, choć go do rany przyłożyć! I niezadowolony, a jej takiego było potrzeba, bo to wiatrak kobieta, a serce dobre.

Nie mieli już nic więcej do słuchania. Pampowski uczuł jak mu nogi odejmowało, robiło się słabo, musiał sięść. Baron nałożył czapkę na głowę i świszcząc fałszywie wyszedł.

Stara z politowaniem patrzała na Pampowskiego, który obudzał litość.

W chwili jednej twarz mu się zmieniła tak, jak gdyby miał w miejscu paść trupem, wargi pobieleły, trząść się zaczął i razem potem oblewać.

Stara pobiegła po wodę. Sparty na krześle komornik z głową spuszczoną zdawał się dogorywać.

Podanej wody wypił kilka kropel i siedział, nie mógł się oddalić od tego miejsca, od wspomnień szczęścia, które tu tak nieopatrznie sobie wyroił, wykołysał, wykarmił, łudząc się niem dość długo.

Nie wiedział co teraz miał z sobą zrobić, chyba wprost iść na mogiłki, bo na świecie było mu pusto, ciemno, nieznosnie. Ani ochoty ani potrzeby życia nie czuł. Resztką młodości opuściła go, siedział zgarbiony, zmarszczony, bezsilny.

— El co bo znowu tak desperować—odezwała się stara, stojąca przed nim z wodą.—Dobra była kobieta i ładna co prawda, urok miała wielki, a no dla niej się nie powiesić, ani topić! Jest tego na świecie dosyć!

Wetknęła mu list do rąk.

Komornik ścisnął go w palcach, a czytać już nie miał odwagi. Siedział ciągle, dopóki z głębi pokojów nie nadciągnęli ludzie i nie zaczęli się zabierać do uprzątniania mebli. Naówczas wstał, list schował do kieszeni, powoli się ze schodów stoczył, i pierwszy powóz jaki spotkał wziął aby go zawiózł do domu. Iść nie mógł.

U drzwi chłopcu zapowiedział, że go nie ma w domu dla nikogo w świecie, ani dziś ani jutro.

Trzęsła go jakby febra, musiał się w łóżko położyć.

Tu dopiero list rozpieczętował, zapisany był na cztery

strony, takim oharakterem, jakby nadzwyczajny pośpiech resztę zaniedbanej kaligrafii wygnał z pamięci.

„Mój dobry, kochany komorniku, wybacz, daruj, nie mogłam ciębie nieszczęśliwym uczynić i sama zostać z tobą męczennicą. We dwa miesiące byłbyś ty mnie przeklinał, a ja ciebie. Żal mi cię było, człek jesteś dobry, ale o kochaniu pomyślałeś za późno. Młodym to niebardzo zdrowe, a staremu może być śmiertelne.

Wyperswadujże sobie, proszę i zapomnij o niewdzięcznicy. Ożenisz się z jaką panną spokojnego temperamentu, która choć cię będzie oszukiwała, to przynajmniej tak, że się nie dopatrzyś!

Słowo ci daję że nie wiem ile ja u ciebie pieniędzy pożyczylam, bo u mnie ani rejestru ani pamięci. Mój Afanazy zawinął w papier kilka tysięcy rubli, to sobie z nich odbierz co ci się należy.

Na prawdę i solitera bym ci powinna oddać, a nie mogę, bardzo ładny i lubię go. Co ci tam po nim. Jak na niego spojrzę, przypominę dobrego człowieka i pośmieję się. Że tam tych dwóch młodszych poszalało za mną, nie ma dziwu, ale ty...

Nie martw że się, bo nie ma czem, pan Bóg łaskaw od takiej żony cię zachował, która by ci kością w gardle stanęła... Żal mi cię i proszę żebyś ty do mnie żalu nie miał. Jak się wywydychasz, przyjeżdż do nas, Afanazy Piotrowicz nie jest zazdrosny, a ja zawsze miłosierdzie mieć będę nad tobą. Bywaj tylko zdrow i nie przeklinaj.“

List żadnego nie zrobił wrażenia na komorniku, zabity raz, mógł już znieść wszelkie ciosy nie czując.

Przez trzy dni Pampowski nie wychodził z domu, miał najmocniejsze postanowienie zmienić tryb życia, wyrzec się projektów wszelkich i pamięć owej uroczej a płoczej niewiasty zachować do grobu.

Był jeszcze tak rozmiłowany w niej, że wszystko aż do ostatniego listu jej przebaczył, był tak biedny, że gotów był puścić się w podróż aby ją tylko widzieć jeszcze. Zarazem jednak sumienny człęk przypomniał sobie iż była cudzą żoną i to go pohamowało.

Zostawała mu fotografia jej w aksamit oprawna, jako najdroższa pamiątka i tę schował do szafy, aby dziś już grzesznego uczucia nie podsycać.

Napróżno przez dni kilka dobijali się do niego przyjaciele, nie puszczano nikogo, dopiero Mahoński przemocą wpadł i znalazł go siedzącego w fotelu, zbladłego, bezsilnego, niepodobnego do siebie, bez zębów, bo tych już nawet nie wkładał, bez tupetu, z wyrazem jakby obłąkania na twarzy.

Mylił by się kto by sądził że pan Józef tak natarczywie się dobijał do przyjaciela aby mu przynieść pomoc, pociechę lub bodaj rozrywkę. Inne go tu sprowadzały rachuby. Domyślał się, miał pewne oznaki na to, że Pampowski otrzymał od Afanazego Piotrowicza zwrot pieniędzy, które u niego pożyczła Brombergowa, chciał korzystać z tego szczęśliwego składu okoliczności i zasilić się groszem, którego mu już nikt nawet na lichwę nie chciał pożyczyć, a raz obrany życia tryb, nie dopuszczał się cofać i zmieniać—pod grozą zupełnej ruiny i wyrzeczenia się wszelkich nadziei w przyszłości.

Spojrząwszy na biednego komornika Mahoński stanął przestraszony stanem jego, ohoć wcale do współczucia usposobionym nie był.

— Co u licha? chory jesteś? co ci jest? He? czyżby znowu ta głupia przygoda z tą waryatką, miała cię tak obejść?

Komornik podniósł głowę, popatrzał nań, ręką zamachnął i nie odpowiadając, pograżył się w zadumie, jakby Mahońskiego nie było, jakby go nie widział lub zapomniał o nim.

Pan Józef spodziewał się gniewu, wymówek, narzekań, ale takiej prostracyi rozpaczliwej, takiego moralnego zabójstwa nie przewidywał. Nie mieściło mu się w głowie jak osłowiek rozsądny, podżyły, stateczny, mógł uleść ciosowi, który co najwięcej złość powinien był obudzić.

— Ale wstydzę się!—zawołał Mahoński—cóż znowu? dla jednej płochej kobiety takie historye wyprawiać. Ona tego niewarta... Co u licha!

Komornik powtórnie milcząc podniósł głowę, popatrzył oczyma osłupiałemi, zadumał się i nic nie odpowiedział.

— Ale to, z przeproszeniem, idiotyzm! śmieszność! otrząśnij że się z tego, sensu nie ma w tym srogim żalu, kiedy skakałbyś powinien że cię uratował ten poczołwiec...

Pampowski jakby nie słyszał, milczał, chudemi rękami przebierając frędzle fotelu, myślą był widocznie gdzieś indziej.

Mahoński chodził po pokoju prawie gniewny.

— Ubierz się, wyjdź, chodźmy razem na obiad—zawołał—rozerwiesz się..

— Nie chcę, nie chcę!—odparł komornik—nie mogę, chory jestem.

Odwrocił głowę, Mahoński sądził że z bezsilności człowieka skorzysta.

— Mówiono mi że ta waryatka, która nas wszystkich

bez sumienia obdzierała, miała jakoby wrócić ci pieniądze, które jej dawałeś? He? To cud? Można ci go powin-szować.

Ale, słuchaj no, kiedy znowu jesteś przy pieniądzach, daj że mi, bo gwałtownie potrzebuję. Lewenstern mnie zarzyna, Goldmeyer chce tradować, a tu psie czasy, grosza nie mogą znikąd dobyć.

— Nie mam! nie mam! — przebąknął komornik — nie mi nikt nie oddał, bo bym nie przyjął.

Ręką uderzył po krześle i zapatrzył się w okno.

Pan Józef zafrasowany, wysłuchawszy odpowiedzi z pogardą popatrzał na siedzącego.

— Trup jesteś, tful Baba ta cię zgalwanizowała na chwilę, a teraz lichy cię weźmie, jeżeli się nie otrząśniesz...! Ani ludziom ni sobie.

Nałożył kapelusz na głowę.

— Trup! — powtórzył czekając na próżno odpowiedzi. — Nie ma już z nim ani co mówić, ani chcieć go ratować I wyszedł.

Służący komornika, którego on posyłał czasami do Maniusi, zrobiwszy znajomość z jej kucharką, gdy ją w tych dniach na targu spotkał, oznajmił, że pan jego jest bardzo źle, a, co najgorzej, doktora nie chce, siedzi w krześle jak skostniały, nie gada, niczem się nie zajmuje... — i pokazał na głowę.

Opowiadający nie mógł się domysleć przyczyny choroby, jednak, znając pana, przeczucie miał iż tego narobiły — baby ..

Kucharka powróciwszy do domu, dla odwrócenia uwagi od rejestrzyku kupna, co najżywiej doniosła Maniusi iż słyszała o chorobie niebezpiecznej komornika, który — (dodała własnym pomysłem) — leżał w łóżku i nie wstawał.

Zerwała się strwożona Manusia i narzuciwszy coś na siebie co prędzej pobiegła do mieszkania przyjaciela. Po drodze modliła się ze strachu.

W przedpokoju sługa oświadczył, iż pan jego nikogo a nikogo nie pozwolił ani przyjmować, ani nawet oznajmywać. Rozplakana Pędrakowska zmusiła swemi łzami, naleganiem, prośbami aby poszedł do pana i o niej powiedział.

W kilka minut wrócił sługa z tem, że mówił, czekał odpowiedzi, nie otrzymał jej; i ruszył ramionami, nie było rady.

Bojaźliwa i delikatna w innych razach Manusia ulgła się tak, iż ośmieliła się przebojem wtargnąć do pokoju sypialnego.

Komornik siedział w krześle i dopiero na głos jej krzykliwy a zrozpaczony, głowę podniósł. Zrobiło to na nim wrażenie.

— Ale czego bo asindźka... aż tu się fatygowała. No! chory to chory jestem. Proszę bardzo.

Pędrakowska okrutnie szlochać zaczęła. Pierwszy raz widziała komornika bezzębnym i łysym, wydał się jej konającym, zestarzałym okropnie, a że przyczyny tej nagłej zmiany w człowieku odgadnąć nie umiała, gdyż amerykańskie zęby nie znane jej były, pojąć nie umiała, jak w tak krótkim czasie mógł nieszczęśliwy Pampowski o kilkanaście lat się posunąć. Zdawało się jej to śmiertelną oznaką.

Na Pampowskim niewieści płacz powoli coraz dotkliwsze czynił wrażenie, drażnił go przypominając mu inną kobietę i własne jego nieszczęście. Względ na biedną Manusię nie dozwalał mu okazać, że ta litość była mu nieznośnym ciężarem.

— Niechże się asindźka uspokoi— odezwał się w koi-

cu.—Choroba ta przejdzie, proszę, proszę wracać do córki... nie zostawiać jej tak samej... To nic.

Manusia prawie wypędzona odeszła ale ze łzami w oczach.

Komornik sądził że się jej pozbył; nie było to tak łatwym jak mu się zdawało. Nie mogła się uspokoić przerażona szczególnie tą zmianą w twarzy, którą wyjęcie zębów spowodowało. Znała doktora który, jak wiemy, wyreczał Pampowskiego w najęciu mieszkania, wprost więc pobiegła do niego. Ten o żadnej chorobie nie wiedział nic.

— Na rany pańskie!—zawołała—ten nieszczęśliwy bez pomocy, sam jeden umiera! Ratujcie go! Okropnie wygląda, choć zaraz do trumny. Już ja się na tem znam! Doktorze, jeżeli ci Bóg miły, pośpieszaj do niego.

— Ale zmiłuj się, dobrodziejko, kiedy mnie nie wzywano!—odparł doktor.

— To co? Kto go wie? On już może nie spełna przytomny? złóż pan na mnie, niech się i pogniewa, przeproszę a ratować trzeba.

Naglony, niemal po rękach całowany, doktor naostatek wziął za kapelusz i poszedł do komornika, chłopak go nie chciał puszczać, bo za Maniasię burę odebrał, ale doktor ma swe prawa, wszedł gwałtem.

Na pierwszy rzut oka dojrzał, że w istocie źle było z Pampowskim, lecz domyślił się że choroba miała w duszy siedlisko. Na widok jego zmięszął się mocno komornik.

— Pędrakowska mnie tu przysłała, bo z przestachu o waćpana od zmysłów odchodzi, co ci jest komorniku?

Wziął go za puls gwałtem. Cera wskazywała że zółło się rozlała.

— Z czego to poszło?—począł badać.

Pampowski milczał. Doktor despotycznego charakteru nie dał się zbyć tak jak drudzy.

— Słuchaj pan—odezwał się—nie z człowiekiem ciekawym masz do czynienia ale z lekarzem. Nie czyń tajemnie przedemną, jesteś zgryziony, nieprawdaż?

Siadł przy nim i zwolna go począł wyciągać na słowa, ale do przyczyny choroby nie przyznał się komornik, choć potwierdził że miał zmartwienie. Surowemi słowami prawdy odezwał się lekarz, powołując go do panowania nad sobą.

— Zmartwienie—dodał w końcu—jeżeli na razie nie zabije, czas rozprasza.

Było to w istocie jedyne lekarstwo, drugiem nie mniej skutecznem było natręctwo biednej kobiety, która Karolkę zamknąwszy w domu, sama po dwa i trzy razy na dzień przybiegała się dowiadywać, wciskała, niepokoiła, latała do doktora, nasyłała przez siebie własnoręcznie gotowane bułony i t. p.

Komornik uczuł się tem poruszony, chociaż teraz, po doznaniem smutnem doświadczeniu, stał się nieprzyjacielem całego rodu niewieściego i przyjął do zbioru swych zasad, ażeby nie ufać żadnej kobiecie, żadną się nie zajmować, nie przywiązywać do żadnej.

Manusia nie liczyła się, gdyż to była nie kobieta ale biedna, którą ratować musiał, był to obowiązek do spełnienia.

Zwolna powracał Pampowski do sił, do jakiego takiego zdrowia i do życia, które postanowił zmienić, czuł w niem ogromną próżnię, szło o to czem i jak ją zapłacić. Dotąd nadzieja wstąpienia w stan małżeński, jakiegoś szczęścia, staranie o wybór przyszłej towarzyszkę, potem zajęcie szalone panią Brombergową, towarzystwo wesołej młodzieży, ży-

nie mu czyniły znośnem; teraz trzeba się było wyrzec kobiet, starań, nadziei i ze zbolałym sercem szukać jakiegoś pożywienia. Opieka nad dawną miłością, zupełnie już zgubioną potrosze, nie starczyła, Karolkę zbyt się zajmować obawiał, aby nadto się do niej nie przywiązać, gospodarstwo na wsi było dlań obcem, musiał więc coś sobie wymyślić. Tymczasem zerwał wszelkie stosunki i począł z systematycznością starego pedanta budować nowy program.

Do literatury nie czuł najmniejszego powołania, do pobożności gorącej nie był skłonny, na starość stan jakiś wybierać zdało mu się niepodobieństwem.

A jednak — nie samym chlebem żyje człowiek, — coś znaleźć było nieodzownie trzeba, lub umierać z nudów.

Awantura Pampowskiego nie utaiła się w mieście, wiedzieli o niej wszyscy, choć rozmaite sądy były i wersye różne.

W tych domach do których dawniej uczęszczał Pampowski, opowiadano sobie na ucho o płochości człowieka, który się tak statecznym wydawał.

Pani Miętoszewska, która miała tyle córek do uplasowania, że jedną by była wreszcie choć za trochę przywidłego komornika z dwoma wsiami wydała, szczególniej była oburzona. Obiecywała mu wytrzeć dobrze kapitułę, jeśli się przyjąć odważy.

Pampowski o tem ani myślał.

Hortyński żałował go i widząc że się nie doczeka odwiedzin, sam poszedł do niego.

Żartobliwy ton którego zawsze używał w rozmowie, pomógł mu do przystąpienia śmielszego.

— No cóż kochany wdewcze — rzekł — odbolałeś młodzieńcze swe zapaly dla tej jejmościanki? Wszysośmy nie-

zmiernie się litowali nad tobą, lecz sp odziewam się żeś już wysapał się po gniewie i żalu. Cóż dalej?

Komornik zagadnięty otwarcie, nie widział potrzeby wyklamywania się.

— Dalej nie wiem jeszcze co będzie—rzekł—aleś wyleczony raz na zawsze z marzeń, które mojemu.. wiekowi nie przystały. Nie jestem stary, ale na szaleństwa młodszym odemnie być trzeba.

— Wiesz ty co?—odezwał się Hortyński—nudno ci? prawda? nie masz co robić? Towarzystwo dawne złotej młodości, które cię dużo krwi, zdrowia i pieniędzy kosztowało, porzucasz, książek, tak jak ja, nie lubisz czytać, bo tam w nich bałamuotwa, co masz robić? Na taki stan ducha niema, powiadam ci kochany komorniku, jak jedno lekarstwo: siadaj grać wista. Trzy, cztery godziny gdy za stołem patrząc w karty wytrzymasz, odejdą ci marzenia, umysł się otrzeźwi, ozdrowiejesz, będziesz jak ja obojętnym na wszystkie życia koleje.. Daję ci radę przyjacielską, zdrową.

U mnie wist wieczorem codziennie, przychodzi, proszę, a po kilku miesiącach rany ci się pogoją i będziesz myślał tylko o zielonym stoliku.

Pampowski wziął to za żart.

— Seryo mówię—dodał Hortyński—spróbuj, po dwóch, trzech tygodniach, skutek nieochybny.

Zaczął na niego nalegać, a choć komornik lękał się spotkać z panną Albiną, aby nie popaść w dawne błędy i znowu w jaką katastrofę, wytłumaczył sobie, że na pannę — z zasady, patrzeć nie będzie i myśleć o niej również.

Powitano go w tym domu uprzejmie bardzo, panna Albina szczególnie, lecz z powagą i ze współczuciem, jak dla

chorego. Mimowolnie zauważył komornik że była bardzo zawsze ładną i że nie miał jeszcze tej obojętności i wstrętu do kobiet, o które się starał. Głos jej nierównie przyjemniejszy niż pani Henryki w uszach mu brzmiał harmonią jakąś nadzwyczaj sympatyczną.

— Dosyć że ja rozumu nigdy mieć nie będę!—mówił po cichu. Zarazem jednak czuł potrzebę brawowania tych wrażeń i ostrzelania się, począł więc chodzić oodziennie do Hortyńskich na wista.

Trafiało się że nie zastawał jeszcze ani gospodarza, ani dwu zwykłych partnerów, naówczas panna go bawiła rozmową i znajdował w niej wiele przyjemności.

— Tylko już drugi raz się zakochać!! ho! ho!—nie głupim!—powiadał w duchu.—Do razu sztuka!

Zdało mu się że wieczorami czasem Hortyński i gracze jakby naumyślnie się opóźniali.

Rozmowy z panną Albina stawały się coraz poufalsze, lecz rozsądne były, chłodne, a komornik unikał (z sasady) spotkania się z oczyma, gdyż był przekonany, że to jest najniebezpieczniejsze. Rozmowa, dwuznaczne słowa, uśmiechy, nawet ściskanie rącek, wszystko niczem przy magnetyzmie oczów.

Komornik nauczony—dmuchał na zimno, a oczy panny Albiny choć rozumnie i na pozór obojętnie patrzyły, miały jednak w sobie jakieś niepokojące błyski.

Siedząc tak z nią niekiedy pół godziny, czasem trzy kwadransy, mówiło się o rzeczach różnych, niepodobna było uniknąć przedmiotów drażliwych, a panna Albina nie myślała wcale o wystrzeganiu się ich.

Raz z powodu plotki jaka chodziła o pannie Miętoszewskiej, którą wydawano za bardzo starego jegomości,

wdowca, dzieci mającego takie jak przyszła jego żona, wspomniała paana Albina o losach kobiet w ogóle.

— Nie dziwuję się żadnej—rzekła—choć czasem na pozór niewłaściwy związek zawiera; młodość prędko przechodzi, a nie mieć domu, rodziny, tułać się po obcych, pozostać samotną, sierotą, to gorzej niżeli się wydać choćby tak jak panna Leokadya...

— Mościa dobrodziejko—odezwał się bojaźliwe rzucając na nią wejrzenie komornik, tak to się mówi o drugich, a gdyby przyszło samej się decydować! ho! ho.

— Mylisz się pan, za statecznego, poczciwego człowieka, którego charakter wzbudzałby we mnie szacunek, poszłabym wcale nie drożąc się.

To mówiąc popatrzała nań z uśmiechem znaczącym. Komornik uczuł jakby go kto gorącym żelazem przez piersi przeszył.

— Ho! ho! — pomyślał — *Non bis in idem!* Nie dam z siebie żartów stroić.

— Wie pani—odezwał się uśmiechając, że takie rzeczy mówić staremu kawalerowi o którym chodzi fama iż się ożenić pragnął, to rzecz bardzo niebezpieczna, a nużby za słówko pochwycił?

— Możebym się nie gniewała—odrzekła—panna Albina, trochę zarumieniona, spuszczaając oczy na robotę.

— Pani żartuje?

— Mówię seryo!

— Jakto pani by nawet za takiego jak ja pójść gotowa... nieszczęśliwego, zdyfamowanego... odrzuconego...

— Gdybym miała szacunek jaki mam dla pana.....

Pampowski wstał nagle.

— Ale pani dobrodziejko! To nie są żarty, jam gotów, ja się boję, pani mi robisz cię nadziei a uchowaj Boże póź-

niej rozmysłu, zmiany usposobienia, pani byś mnie zabiła...

— Mogę panu zaręczyć że raz dawszy słowo, umiałabym go dotrzymać!—zawołała seryo panna Hortyńska.

Pampowski stał oniemiały, chwyciło go to tak niespodzianie, że uszom nie wierzył.

W przedpokoju słychać było szastanie nogami i głośny śmiech Hortyńskiego nadchodzącego z partnerami razem, chwili nie miał do stracenia.

— Pani pozwolisz — zawołał — ażebym się jutro oświadczył oficjalnie?

Skinęła głową podając mu rękę, którą schwycił właśnie do pocałowania i usta do niej przycisnął, gdy wchodzący Hortyński, zobaczywszy to krzyknął.

— Biorę panów za świadków, że mi siostrę bałamucil To jest niepoprawny człek, tylko co się sparzył i znowu w ogień leci na oślep.

A dając mu harbuza, Albinko, zlituj się, aby znowu rozmarzywszy się nie chorował.

— My się porozumiemy, odpowiedziała panna żartobliwie, spoglądając na brata znacząco—ajazapobiegnę by się nie rozmarzał zbyt wiele.

Stół już czekał ustawiony do wista i nie tracąc czasu gospodarz podał karty do wyboru.

Śmiech znowu, bo dama kierowa dostała się komornikowi, który dawał żartować z siebie i choć pomieszany, był w humorze w jakim go nie widywano.

Grali tak do jedenastej, panna Albina już się przy pożegnaniu nie pokazała.

Pampowski wyszedł pijany.

Pierwszą myślą jego było pójść do kościoła i Panu Bogu podziękować za cud jaki się dokonał. Panna Albina je-

go żoną!.. Nareszcie on, ów wydziedziczony, zrozpaczony, miał dostąpić tego szczęścia i posiadać młodą, dystygowaną, piękną, dobrą żonę!.. Nie wierzył sobie samemu, powtarzać musiał usłyszane słowa, napawał się niemi.

Wprawdzie o miłości tej idealnej, która wchodziła jako część składowa do jego marzeń, wcale tu nie było mowy, główny przycisk kładła panna na szacunek, lecz miłość obudzić się, rozwinać i przyjść musiała.

Że świat tego wieczora wydał się komornikowi daleko przyzwoitszym, logiczniejszym i niepodobnym do Schopenhauerowskiego, niedziwna. Pojęcie świata my nosimy w sobie, a widzimy go takim jak go ubarwią oczy nasze.

Pampowski mimo deszczu, który go napadł w drodze i małej burzy przeciągającej nad głową, biegł do domu, znajdując powietrze, gromy i ulewę nader przyjemnemi.

Co się z nim potem działo, gdy się znalazł pod dachem, z którego wychodził niedawno z programem nowym, dziś wywróconym i obalonym — opisywać nie będziemy.

Ohłopak, który go śpiewającego słyszał, obawiał się czy mu się w głowie nie pomieszało.

Pakiet Afanazego Piotrowicza opieczętowany z pieniędzmi leżał dotąd nietknięty. Pierwszym czynem spełnionym w upojeniu szczęściem nowem, było przejednanie z praktyczną stroną życia. Obliczył w swoim rejestrze ile u niego pożyczyła pani Brombergowa, a potem rozłamał pieczęcie. Należało mu się około dwunastu tysięcy rubli, w paczce było ich dziesięć. Z reszty kwitował, ale znalezione zaanektował do kassy.

Były mu teraz potrzebne, myślał już o przyszłości i miał przyszłość.

Urzędowe oświadczenie się, nie mogło nastąpić prędzej jak o jedenastej rano, co tu było robić z czasem? Oddawna należała wizyta pocziwej starej Maniusi... Komornik poszedł na Wiejską ulicę.

Sama mu otworzyła drzwi, powitała okrzykiem, ucieszyła się twarzą znowu odmłodzoną i wprowadziła go do saloniku, w którym właśnie podlewała kwiatki.

— A ja już myślałam, słowo daję, że może komornik się na mnie gniewa czy co? Zeby też nie był łaskaw zajrzeć, dowiedzieć się, a choć spytać o swoją pupillę!

Nie! ale jak Boga kocham, żebyś posłuchał pan jak deklamuje po francuzku bajkę—no! Ja nie rozumiem, to prawda, ale to muzyka, słowo daję, tak nie rozumiejąc człowiek by słuchał... a!..

Bo że mogę się pochwalić Karolką, że niedarmo na nią dobrodziej ekspensuje, to święta prawda, tak się uczy że pierwsza w klasie, a inne zazdroszczą. O! już jeśli ona losu nie zrobi, to ludzie oczów i rozumu nie mają!

Paplała stara Manusia uśmiechając się do przyjaciela, na którego twarzy widziała uszczęśliwienie; była najpewniejszą, że tak się postępami Karolki cieszył.

— Siadajże, mój dobrodzieju!—zawołała, a możeby.. albo filiżankę bulionu, albo co przegryźć?

Pampowski spoglądał już na zegarek, gdzieindziej się spóźnić obawiając.

— A komornik już z tym zegarkiem, słowo daję!—odezwała się—tylko co się drzwizamknęły, jużby od nas rad uciec.

— A! nie! nie—przerwał Pampowski—ale dziś, darujesz mi pani, mam nadzwyczaj pilny interes! na którym mi wiele zależy.

— Pieniężny pewnie!—westchnęła Manusia, a! to już nie ma rady.

— Nie pieniądze—począł potrzebujący wywnętrznie-
nia komornik z twarzą wesołą.

Hm! niech pani zgadnie?

Manusia głową potrząsała:

— Gdzie mnie takie rzeczy zgadywać?—rzekła—ja po-
wiem komornikowi dla przykładu, że bywało, zaraz po ślu-
bie, kiedy ten poczciwy Pędrakowski był czasem bardzo
czuły, to jak wrócił z jarmarku, kazał zgadywać co przywiózł
za gościniec. Żeby raz odgadła! Nie, ja do zgadywania
nie jestem stworzona, ale żeby tu była Karolka, dopiero byś
zobaczył.

— O! tego o czem mowa, Karolka by zgadnąć nie po-
trafiła—dodał komornik ciągle się uśmiechając.

— A cóż to takiego jest? trochę zmieszana, poważnie-
jąc spytała ciszej Manusia...

Pampowski stał rozpromieniony.

— Cobyś pani powiedziała—odezwał się przybierając
fizys tryumfującą—hm! gdybym ja... się ożenił?

Spojrzał na Manusię, która pobladła nagle, spuściła
oczy i chwyciła się za blisko stojące krzesło, a w chwilę
potem z lekkim okrzykiem padła na nie, wołając:

— Wody! wody!

Zemdlała.

Komornik ze strachu aby nie spadła na podłogę,
chwycił ją podtrzymywać, i począł krzyczeć na kucharkę:

— Wody!

Wbiegła z kuchni służąca i zobaczywszy panią omdla-
łą, a przyczynę omdlenia przypisując pewnie gościowi, rzuci-
ła nań piorunujące wejrzenie.

Zaczęła ratować biedną kobietę, która natychmiast do
siebie przyszła, ale zawstydzona, zapłakana, bełkocąc się
tłumaczyła iż zbyt gorąco tego dnia jej zaszkodziło.

Stojąca z tyłu sługa, pogroziła panu Pampowskiemu, mając go za wielkiego niegodziwca od dawna.

Komornik czując zbliżającą się jedenastą, a nie mogąc odstąpić Maniusi, był w utrapieniu nadzwyczajnem. Miarkował też iż nie gorąco ale czułość dla niego, a może jakie tajone nadzieje Pędrakowskiej, spowodowały omdlenie. Ten dowód niewygasłego przywiązania stawiał go w położeniu nader kłopotliwem.

Maniusi z panną Albiną ani było można porównać, a uczynić pierwszą nieszczęśliwą boleśnie było.

Pomimo siwiejących trochę przedwoześnie włosów, Pędrakowska po omdleniu jak małe dziewczę siedziała zasromana, smutna, z usty zaciśniętymi.

Obowiązek sumienia nakazywał stanowczo już teraz się rozmówić.

— Ale bo asindzka—rzekł—może wciąłś do serca co się mówiło, że ja mógłbym się ożenić, sądząc że nie będę się potem nią i Karolką opiekował tak gorliwie...

Otóż, obliguję abyś była spokojną.

Maniusia spojrzała niedowierzająco.

— A już to tam trudno—poczęła oczy ocierając—żebyś pan komornik mógł o nas pamiętać mając bliższą osobę. Przyznam się że i nie wiedzieć teraz, na ten wypadek, co z sobą zrobić. Żona musi być zazdrosna, a tu się jej gotowo co takiego przywidywać co nigdy nie było. Dla mnie, wstyd, i—słowo daję, choć uciekaj.

— Ja asindźce powiem — odezwał się Pampowski—najprostsza w świecie rzecz, sekretu robić nie będę, oznajmię że mam krewną, siostrę cioteczną.

— Tak! a skłamawszy to się nie wyda?—odparła Maniusia, głową trzęsąc, już masz mówić jej... to powiedz prawdę. Ale z kimże i jak się masz żenić, nie było o tem mowy.

— Bom do wczorajszego dnia o mojem szczęściu nie wiedział—rzekł z zapalem naiwnym Pampowski. — W rozmowie z jedną piękną panną, dyskursywe tak zgadało się coś, a ona mi powiada niemal wprost że poszłaby za mnie!

— A! to już, z pozwoleniem, wstydu nie ma!—zawołała Maniusia w ferworze, który ją nagle opanował. — I komornik z taką panną co mu się sama rzuca na szyję będziesz się miał odwagę żenić!

Ruszyła ramionami.

— Ale bo to nie tak było jak sobie asindzka imaginujesz—przerwał komornik.

— E! już jak ono tam było to było, a to mi się zdaje interes nieczysty!

Ruszyła ramionami i poczęła w okno patrzeć.

— Co już teraz o tem mówić—dodała—ale ja co innego dla komornika na myśli miałam, chciałem się z tem nie wydawała. Jakby Karolka skończyła edukacyę, młoda, śliczna, a na komornika patrzy dobrem okiem, był byś dziewozyną jak malinę miał, czyste złoto... a jabym choć spokojna o jej los umarła!

Rozpłakała się Maniusia.

Pampowski był jak nieprzytomny.

— Ale jakże to mogło być!—krzyknął—kiedy ja się w asindoe kochałem?

— To co? to co? albo to grzech w tem był?—odparła Maniusia. — Żeś mnie w rękę całował, przecie dla tego Karolkę mogłeś wziąć, a ja...

Tu żyj jej mówić nie dały, Pampowski otarł czoło, robiło mu się zimno i gorąco.—Karolka! kurczątko to młodziesienieczkie.—Panna Albina przy niej nikła. Serce mu biło niezmiernie.

— Moja dobrodziejko—począł niewyraźnie i z nie pewnością jakąś—tyle powiem że—że jeszcze nie ma tak dalece nie postanowionego.

A bądź co bądź, Karolka bo dla mnie zbyt młoda.

— El co to młodość nasza!—szepnęła Manusia, roczek dwa i po wszystkim, a takiego męża mieć...

Ledwie się wyrwał ztąd komornik i choć była jedena—sta nie śpieszył zbyt do Hortyńskich.

— Jak nie było to nie było—mówił w duchu, a teraz jakem już zdesperował, nie wiedzieć co wybierać! same się garną!

Los sobie w istocie z niego żartował. Na zawrocie ulicy, spotkał starą Miętoszewską, z książką w ręku, powracającą z wotywy, bodaj na intencję wydania córek wysłuchanej.

Zdawało się jej palcem opatrności, że w ulicy właśnie po wotywie spotkała komornika.

Pampowski nie był u niej od owej głośnej awantury. Zdala się jednak jej skłonił. Stara pogroziła mu na nosie: musiał się przybliżyć.

— Oj to! to, stary bałamut—odezwała się—słyszeliśmy, słyszeli, coś dokazywał. Dobrze waćpanu tak, kiedy się nie wiedzieć gdzie adresujesz?

Czyżbyś jako obywatel zamożny, niestary, reputację mający, nie mógł sobie wyswatać dziewczyny młodej, niezapętej, z dobrego domu? A to ci było trzeba szukać pereł na śmietniku?

Komornik milczał.

— Nie, bo wy wszyscy mężczyźni gusta macie osobliwe do robaczkliwych fruktów, którą robak nadkąsił ta wam najlepsza.

Pan wiesz, że Leokadya wychodzi za starszego niż pan,

ale dobrego i zamożnego człowieka, a nie byłaby poszła i za niego? Jak Boga kocham! Moje córki, chwala Bogu tak wychowane, że co ja powiem i każę, muszą się akomodować. Teraz kolej na Filomenę, która dawniej asindziejewi była do smaku!

Pokręciła głową i poszła prędko, nie czekając odpowiedzi.

Komornik teraz widział jak na dłoni, że się zbytecznie pośpieszył. Panna Albina niezawodnie z tych wszystkich była najdystygowańszą, ale najstarszą! Gdyby był wczoraj nie poprowadził rozmowy tak porywczo!

Klamka zapadła, los nielitościwy drwił z niego. Dopóki go błagał był nieubłagany, teraz gdy rozpaczał, skarby się mu cisnęły same.

Karolka, którą mógł sobie wychować sam, panna Filomena, która tak sympatycznie jeszcze ohodząc w krótkiej sukience patrzyła na niego! Słowo się rzekło,—po krótkim namyśle komornik pobiegł do Hortyńskich, było blisko dwunastej.

Z bijącym sercem wszedł na wschody. W pierwszym pokoju czekał niecierpliwie chodząc po nim brat panny.

— A! dzień dobry! Cóż to, siostra mi mówiła że masz jakiś interes do mnie?

Skłonił się zrezygnowany Pampowski.

— Przyjacielu kochany — odparł głosem śmiałym — przychodzę przyjaźń twoją wystawić na próbę, prosząc cię o rękę siostry.

— O rękę Albiny!—krzyknął, niby zdziwiony Hortyński—seryo? ty? Ale, zmiłuj się byle ona zgodziła się na to, z największą chęcią! któryż przywiązany brat nie radby się starej panny pozbyć z domu. Bierz! bierz!

Uścisnął go wołając:

— Albino, prezentuję ci przyszłego męża twojego, bo mam to przekonanie że, choć wisus i bałamut, ale go wezmiesz!

Albina nadszedłszy, z uśmiechem spokojnym rękę podała już Pampowskiemu, który pierścionka dobywał.

Czy przypadkiem znaleźli się dwaj partnerowie wiśtowi za świadków, nie wiem—a tuż i butelka wina i tort...

Pampowski już nie myślał ani o Karolce, ani o pannie Filomenie, cały był zatopiony w pięknych oczach panny Albiny, które, powiedzmy prawdę, tem piękniejsze mu się wydawały, że przypominały niewdzięczną Henrykę.

Nader wesołe były zaręczyny.

— Ale słuchaj no, ty bałamucie—rzekł brat, tobie wierzyć nie można, odkładane tylko pierogi dobre, mówmy otwarcie.

Panna ma wyprawę gotową, ja do wypłaty posagu nie potrzebuję się zbierać, bo ci go teraz nie dam, więc po cóż zwlekać z weseliskiem. Ty nie masz czasu do stracenia. Albina nie będzie się sprzeciwiać ślubowi za indultem, raz, dwa, trzy i żeńcie się w krótkich abcugach.

— I owszem, nie mam nic przeciw temu—ale z mieszkaniem?—spytał patrząc na Albinę komornik.

— Pan masz podobno dosyć obszerne? — zapytała panna.

— Kawalerskie—rzekł komornik.

— A to doświadczona rzecz—przerwał Hortyński—że w kawalerskich mieszkaniach dla kobiety zawsze jest miejsce; czasem aż nadto.

Śmieli się partnerowie, a komornik z narzeczoną wyszedł do drugiego pokoju.

— Gładko mi się udało—szepnął schylając się do ucha profesorowi Stefanowiczowi gospodarz; żeby nie ja i nie

wist, człowiek by się zmarnował i siostra by mi rutkę siała. (zasłonił się ręką) Dwadzieścia sześć skończonych! — szepnął kiwając głową. — Nie przelewki. Musiałem fortunie i temu nieszczęśliwemu pomóc trochę, a i Albina rozumna!.. Ho! ho! Trochę mi bez niej dom będzie pusty, ale ja poczekawszy się do nich przeniosę.

Pampowski naradzał się, a raczej pytał o rozkazy swej przysłej, gdzieby mieszkać wolala, na wsi czy w mieście?

— Pan? — spytała go.

— Zastosuję się do jej woli.

— Lecz, gdybyś sam rozporządzał się?

— Hm! nawykłem trochę do miasta.

— Więc skromnie zostaniemy tutaj — odezwała się Albina.

Tak się z nią zagadał komornik i tak mu już było dobrze, iż raz do portu dopłynął, że do wista dosiedział u Hortyńskich.

Koło dwunastej szedł do domu z głową tak podniesioną, jakby nią obłoki przelatujące chciał rozbijać.

Ślub pana Jana Alberta Gozdawy Pampowskiego odbył się w parafii ś-go Krzyża, bardzo oicho i skromnie. Mało osób było zaproszonych, Maniusi jednak tajemnicy nie robił z niczego komornik i ona siedząc w ławkach rzewnie się s płakała...

Państwo młodzi nie pojechali w żadną podróż cudzoziemskim obyczajem, wprost od Hortyńskiego, z kilku przyjaciółmi, przeniesli się na cukrową kolację do mieszkania komornika. Od tej słodkiej wieczery życie się ich rozpoczęło, o którego przebiegu nie już nie powiemy, bo czytelnik z tych danych jakie ma, powinien sobie wywnioskować iż

Pampowski był najszczęśliwszym z ludzi; czy była nią panna Albina, dla nas jest tajemnicą.

W rok po ślubie wypadło pani Pampowskiej pojechać z bratem do stryja na Podlasie, na którym pewne pokładano nadzieje testamentowe, był bowiem bezdzietny. Komornik towarzyszyć im nie mógł z powodu sciatyki, która teraz, poczynszy od miodowych miesięcy, zatrutyoh nią, często go bardzo nawiedzała.

Brał kąpiele iglicowe i używał różnych środków przez lekarza mu przepisowywanych, lecz—choć się jej czasem zbył na parę tygodni, lada co sprowadzało ją na nowo.

Nie mogąc towarzyszyć żonie, którą ubóstwiał, o którą był zazdrosny, bez której żyć nie mógł, komornik gryzł się i był w tak złym humorze, iż się z rozpacz do lektury uciekał. Jak się brał do książki, było to znakiem zawsze iż się pragnął narkotykiem uspokajać.

Czytał właśnie, nie powiem co, boby to wzięto za złośliwość, czytał pewną grubą książkę, gdy w przedpokoju usłyszał głos znajomy, którego właściciela przypomnieć sobie nie mógł.

Był pomimo to znajomy, ale tak znajomy dziwnie, że go poruszył. Książka się stoczyła w popielniczkę, a komornik o sciatyce zapomniawszy, chociaż wstać, chwycił się za krzyż i przeraźliwie krzyknął.

W tej samej chwili ujrzał na progu z otwartemi stojącego rękami Afanazego Piotrowicza, z twarzą rumianą, uśmiechniętego.

— Al ty! „dobry mały!“—wołał—no! jak ty żyjesz? jak się tobie powodzi? he! tyś się słyszę pocieszył i ożenił.

Padli sobie w objęcia, bo komornik urazy już do niego nie czuł.

— No widzisz, Janie Klemensowiczu, począł gość, ja o

tobie nie zapomniałem, tylko przyjechałem do Warszawy, prosto do ciebie, jak w dym!

Pocałowali się raz jeszcze.

— U mnie taka natura—mówił Afanazy Piotrowicz— że jak kocham, to się dam na kawałki pokrajać, a jakem zły, te posiekam na kawałki. A ciebie ja kocham... a! ty „dobry mały.“

Uściskali się po raz trzeci.

— No coż ty dobrą żonkę masz? nie ma jej podobno w domu, a ja bardzo chciałem ją w rączkę pocałować.

— Wyjechała...

— A ty ją puściłeś i zostałeś w domu?—pytał gość.

Komornik schwycił się za bolący krzyż.

— Choroba nie w porę kiedy młodą żonkę masz!..

Rozgadywali się tak, komornikowi cisnęły się na widok tego człowieka wspomnienia przeszłości, lecz nie śmiał spytać o Henrykę.

Afanazy Piotrowicz także jakoś nie śpieszył mówić o niej.

— Gdzież państwo mieszkacie?—pytał w końcu komornik.

— Ho! jakie państwo?—odparł buchając śmiechem Afanazy, ośa to ty, nie wiesz nic?

— Nic—rzekł krótko Pampowski.

— Nic!—rozśmiał się wesoło gość—no! no! toć przecie historia! Ja teraz ni wdowiec ni kawaler. Henryki Iwanownej u mnie nie ma!

— Jak to?

— A czort ją wziął, to utrapienie—począł chmumiejac trochę wesoły Afanazy. No, to prawda że mnie ona tak opętała, że m dla niej resztę rozumu postradał. Pięknas bo była, a djabeł wcielony! ja takie lubię. O mało się o

nią z baronem nie pobilem, kosztowało mnie, o tem nie ma już co gadać, przepadło! Kazała się z sobą ożenić, co było robić, musiałem, żeby była naówczas żądała: obetnij rękę, byłbym obie poobcinał.

No! byłem szczęśliwy! nie ma już o tem co mówić! szaleliśmy oboje aż strach... obsypałem ją brylantami, miała najlepszą parę rysaków, za którą nie wiem com zapłacił. A piękna się zrobiła—no, jeszcze piękniejsza niż była. Dom u mnie zawsze otwarty, chleba i soli ja nikomu nie żałuję. Cisnęli się do mnie, gwardya nie gwardya, ministrowie, księżęta, a ona królowała. Bywało w teatrze, siadziemy w loży, wszystkie lornetki na nią skierowane, a ona tak pogardliwie patrzy, jakby jej nikt nie był wart końca nóżki pocałować. Nie byłem ja zazdrosny—niechaj szaleją drudzy—ona moja! Miło było się nią pochwalić.

Pieniądze prawda, jadła, w rękę się jej topiły, nie można było nastarczyć, ale dla takiej kobiety bez nich nie ma życia. No! hulaj! Zaczął u nas bywać książ z czerkiesów, z Kaukazu, Aghat-Khan, chłopiec młody i ładny, a bardzo bogaty. Zaraz postrzegłem że się zakochał na zabój. Pożałuj! kochaj się... Ona się śmiała z niego. Pytam jej — a co Aghat Khan? — Piękny jest — odpowiedziała — ale to dzieciak... A to natura była szalona, dzika, góralska i pieniądze miał huk. Więc gdzie my tam i on, ślad w ślad, oczyma goni za nią, prezenta nosi. Co mnie tam! Pożałuj! Ani patrzyła na niego, zdawało się. Bywało przyjedzie, posadzimy go do kart, a on za nią wodzi oczami i przegrywa! No—pożałuj! Co mnie tam...

Wypadło mnie jechać do Archangielska, co robić, pakuj się, w drogę. Zostawiłem ją z tą starą Abakową, wiesz? co tu była... pocałowałem — nie tęsknij, prędko powrócę...

Zabawiłem się trochę dłużej i już okrutnie za nią sam tęskniąc, przypędziłem do domu.

— Gdzie pani?—zaraz pytam od progu. Ludzie nie odpowiadają, aż mnie złość wzięła. Wpadam do pokoju, a tu stara przedemną na kolana, ręce złożyła. Zmiłuj się, ja nic nie winna!

Mnie krew mało nie ubiła.

— Gdzie pani?—wołam.

Nie było duszki. Po moim wyjeździe nic się znaczą, cege nie stało; nawet listów żadnych nie odbierała. Aghat-Khan nie pokazywał się, pojechała sama jedna sankami na Newski Prospekt i—tyle jej było. Gdzieś na nią czekał ten urwis i jak drapnęli, oparli się aż gdzieś na perskiej granicy. Czort że ich bierz. Baba z wozu kołom lżej!

Ruszył ramionami Afanazy Piotrowicz.

— A, wiesz, dodał śmiejąc się, tak mnie podebrała wyjeżdżając, sprytna babuszka, że jednego pierścionka i jednego rubla nie zostawiła, nic, tylko na karteczce dla mnie —„praszczej“—(Bądź zdrów.)

Com odbolał tom odbolał, taka piękna kobieta—mówił dalej gość—ale żeby była dłużej posiedziała, nie stało by nas obojga. Kochała mnie a kłóciliśmy się nieraz tak, że do kułaków przychodziło — potem zgoda święta i dobrze. Już w końcu jam miarkował że ona ze mną nie wybędzie, bo jej na jednym miejscu usiedzieć było to samo co umierać! Dwa razy w jedną ulicę pojechać, już ziewała. Dawaj nowego, choć się zarznij. Otoż i dostała nowego!

Radzili mi ludzie gonić ich, odbierać, zabijać! Albo m głupi! A mnie to na co? Jak ona mnie nie chce, co ja się mam rozbijać dla niej, kiedym ją już znał i miał do syta...

Komornik słuchał z pewnym rodzajem wstydu.

— I cóż się z nią stało?—szepnął zcicha.

— Nie. Słyszę jeszcze siedzą razem w Tyflisie, a on nawet nie chrześcianin, mahometańskiego wyznania. Tak samo jak u mnie bywało, cisną się ludzie oglądać ją, bo taka piękna jak i była, przyjdzie i na czerkiesa to co na mnie, tylko on — i ją i przyjaciela ubije, bo u nich krew gorętsza...

Janie Klemensowiczu—dokończył Afanazy, ono to tak, jak się durzyć i kochać to bodaj w szalonej, ale jak żenić, sprawa inna, rozumnej trzeba szukać i spokojnej. Już jeżeli teraz owdowieję, a będę mógł sobie drugiej żonki szukać, wezmę taką co płacze a nie taką co się śmieje.

Strzepnął ręką Afanazy Piotrowicz. Zresztą, tyle tam naszego życia, trzeba wszystkiego spróbować i doświadczyć.

Za zdrowie twoje i żony!—rzekł wychylając kieliszek podany wesoły człek—ot! Bogu chwała żeś ja jeszcze ciebie zobaczył, bom pokochał...

Wstał z krzesła patrząc na zegarek.

— Tyle tylko żeś miał czas zbiedz i was uściskać, bo zaraz muszę do Londynu maszyny kupować i przyrządy do kolei. Bywaj zdrów...

Wytoczył się o ile mógł pośpiesznie wesoły gość, a pan Jan został ze sojatyką, w krześle zadumany głęboko.

— Pan Bóg mnie salwował—rzekł w duchu. — Jemu się nic nie stało, choć go w trąbę puściła, a gdyby to tak na mnie przyszło, jużby kości moje na omentarzu, bieląły!

Westchnął.

— Żal mi Afanazego a i kobiecisko biedne!..

Właściwie powieść się na tem skończyć powinna, lecz czułym sercom gwoździ, jakże milczeniem zbyć pocziwą Maniusię i niewinną Karolkę?? Co się z niemi stało? mógłby mnie kto listownie pytać i niecierpliwie się nierychłą odpowiedzieć, gdyby list gdzieś daleko szukać mnie musiał.

Los Maniusi rzeczywiście zasługuje na to, abyśmy mu parę wierszy jeszcze poświęcili. Spłakała się ona na ślubie, grzebiąc nadzieje jakie dla Karolki miała. Komornik nie przyznając się przed żoną do opieki nad wdową Pędrakowską, za pośrednictwem doktora przesyłał jej zapomogę i pozdrowienia.

Doktor człowiek rozumny, od gadatliwej Maniusi dowiedziawszy się wszystkich szczegółów jej historyi, a nawet stosunku z komornikiem, znalazł najwłaściwszem opowiedzieć to w sekrecie pani komornikowej.

— Mnie się zdaje, dodał, że pani wcale nie masz powodu być o nią zazdrosną. Stosunek ich był pocziwy, za co charakter sam obojga ręczy. Zyszczesz u męża nową wdzięczność, gdy go od tajemnicy uwolniesz i zaopiekujesz się biedną wdową.

Komornikowa śmiejąc się, z wielką ochotą podjęła się całej sprawy; ale figlarz baba, sama pojechała do Pędrakowskiej, zaprzyjaźniła się z nią, ośmieliła, a w ostatku, nie mówiąc mężowi, zaprosiła ją z córką na obiad.

Pampowski widząc u stołu dwa nakrycia więcej niż zwykle, zapytał żony:

— Kogóż to się spodziewasz! aniołku! (Nazywał ją zawsze aniołkiem, a ona jego „kochasiu“).

— Mam moją dawną jedną znajomą! Nie wiem czy ją znasz? odparła żona tajemniczo.

Dowiedziawszy się o gościach, komornik sam poszedł po wino do składu i wracając z butelką, gdy zobaczył Ma-

nusię, o mało jej nie upuścił. Ledwie miał czas drżącą ręką na kredensie ją postawić.

Wyjaśniło się wszystko; dostał komornik burę za brak zaufania, a poczciwa Manusia splakana, wdzięczna, stała się nieomal służką komornikowej, za którą życie dałby gotowa. Ona i Karolka codzienni goście w domu, towarzyszyły pani w przechadzkach. Manusia robiła jej sprawunki, a komornikowa za to własnych dzieci nie mając, zajmowała się Karolką i jej wychowaniem z macierzyńską troskliwością. Dziewczę już ładne dawniej, wypiękniało, nabrało śmiałości, a że miało talent do wszystkiego i ochotę wielką, śliczna się z niej zrobiła panienka.

I—złożyło się dziwnie, bo Horthyński, który z wistem przeniósł się do szwagra, codzień tu przychodząc, swoim trybem żarty stroił, figlował, droczył się z Karolką, niby się do niej zalecał aby ją nastraszyć, zakochał się naprawdę i—z pomocą siostry oświadczył się dziewczęciu.

Manusia przeciw tak „słusznemu obywatelowi“ nie miała nic a nic, panna serce dotąd niezajęte jeszcze zachowawszy, że ją Horthyński bawił, zgodziła się wyjść za niego.

I w tem małżeństwie miłość gorąca była po stronie męża, panowanie przy kądzieli. Panna Albina rozkazywała komornikowi i rządziła nim jak chciała, lecz starsza, zachowywała w tem pewne *decorum*, Karolka nasajutrz po ślubie stała się despotą w najstraszliwszem wyrazu tego znaczeniu. Horthyński sam z siebie się najgrawając że był pod pantoflem, nieustannie się niby na los swój uskarżając, padał przed młodą małżonką na twarz i adorował ją bez miary.

Można sobie wyobrazić uszczęśliwienie Manusi i wdzięczność jej najprzód Bogu, potem komornikowi, a w ostatku tej „najdroższej komornikowej dobrodziejel“

Karolka Hortyńska wkrótce zażądała skosztować życia, »obywateli ziemskich,« namówiła męża na wieś, zazabrala matkę i—rządzić się poczęła jak szara gąska na „swojem dziedzictwie!“

Manusia, która w mieście była jakby szafarką i li kluźnicą u komornikowej, na wsi u własnej córki poszła a pod jej rezkazy, trudniąc się gospodarstwem za nią, bo Karolka stroiła się i paradowała trochę po sąsiedztwie.

Ażebyśmy czytelnikowi dopełnili to studyum psysycho i patho-graficzne, musimy zanotować, że dziwne bardzo to metamorfozy zaszły w osobach głównych naszego obrazka; a; komornik, o ile to było możliwem, odmłodził, żona jego o jakby postarzała, opuściła się nieco, straciła wdzięk młododości, Karolka kwitła nie już jak róża ale jak piwonia, a Hortytyński nagle, gwałtownie starzeć począł w sposób zatrważający.

Co dalej będzie, pan Bóg jeden wie tylko...

Drezno, listopad 1878.







